ŁOWIEC POLSKI



52 ROK WYDAWNICTWA

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 5 (978) MAJ 1950 R. CENA 60 ZŁ

Łowiecki Konkurs Literacki

Komitet Redakcyjny Łowca Polskiego, pragnąc zasilić pismo utworami beletrystycznymi i przyciągnąć do współpracy nowe siły, zwłaszcza z prowincji, ogłasza KONKURS NA KRÓTKIE UTWORY LITERACKIE W POSTACI NOWEL, OPOWIADAŃ, WSPOMNIEŃ itp. na tematy łowieckie lub na tle życia łowieckiego oparte.

Utwory powinny być krótkie, mogące się zmieścić na 4 do 5 stronach Łowca Polskiego, a więc liczące 8 DO 10 STRON MASZYNOPISU o 30 wierszach i 40 znakach pisarskich w wierszu. Ilustrowanie prac zdjęciami czy udatnymi rysunkami jest pożądane.

Prace, nadesłane na Konkurs, powinny być przepisane na maszynie jednostronnie, z interliniami (odstępami między wierszami) i z marginesem dla poprawek i uwag dla drukarni. Podpisane być winny godłem, zaś nazwisko autora należy podać w zamkniętej kopercie, opatrzonej tym samym godłem.

Dla prac wyróżnionych wyznaczono pięć nagród: I — W KWOCIE 30.000 ZŁ, II — 20.000 ZŁ i TRZY NAGRODY PO 10.000 ZŁ. Autorzy prac nagrodzonych otrzymają po 5 egzemplarzy Łowca Polskiego z pracami wydrukowanymi oraz normalnie przypadające honorarium. Poza tym inne prace mogą być uznane za zasługujące na zamieszczenie w Łowcu Polskim z opłatą honorarium normalnego i z prawem do 2 egzemplarzy autorskich.

Sąd Konkursowy stanowić będą członkowie Komitetu Redakcyjnego z wyboru. Sądowi przysługuje prawo — w razie nie osiągnięcia należytego poziomu prac — nie przyznania nagrody pierwszej.

TERMIN NADSYŁANIA PRAC UPŁYWA Z DNIEM 31 SIERPNIA 1950 R..

Spis rzeczy w numerze:

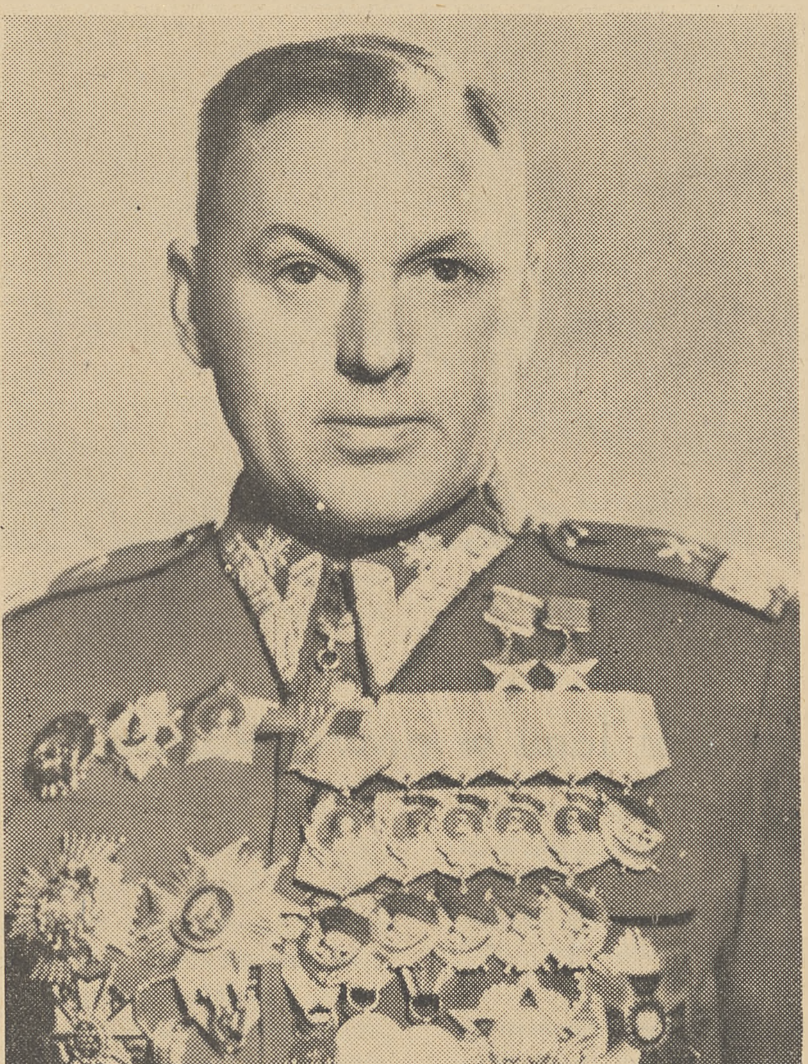
Nasza okładka — Sarniątko, rys. L. Maciąg

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 5 (978) 1950 MAJ

Minister Obrony Narodowej Marszałek Polski Konstanty Rokossowski Prezesem Honorowym Polskiego Związku Łowieckiego



Marszałek Polski Minister Obrony Narodowcj Konstanty Rokossowski przyjął w dniu 22 kwietnia 1950 r. delegacją Polskiego Związku Łowieckiego pod przewodnictwem generała Prof. Dr. Bolesława Szareckiego.

Delegacja złożyła na ręce Marszałka Polski prośbę o przyjęcie przez Niego Prezesury Honorowej Polskiego Związku Łowieckiego.

Jednocześnie delegacja przedstawiła stan organizacyjny Związku w terenie oraz 6-letni plan odbudowy łowiectwa w Polsce.

Marszałek Polski przychylił się do prośby delegacji i wyraził Swą zgodę na przyjęcie Prezesury Honorowej Polskiego Związku Łowieckiego.

W dniu 25 kwietnia 1950 r. Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowiekiego grzmotem długotrwałych owacji wyraziło swą głęboką radość z powodu objęcia Prezesury Honorowej nad Związkiem przez Marszałka Polski Konstantego Rokossowskiego.



Wiosna w puszczy fot. J. Karpiński

Dni lasu w nowej Polsce

IDEA Dni Lasu ma już swoją blisko dwudziestoletnią tradycję. Zainicjowano ją ongiś jako „Święto Lasu" z myślą o popularyzacji wśród najszerszych kół społeczeństwa, a przede wszystkim młodzieży, umiłowania lasu i zrozumienia jego najistotniejszych potrzeb.

Idea ta w ciągu minionych lat kilkunastu nie uległa najmniejszej zmianie, a w dzisiejszych trudnych dla lasu i leśnictwa warunkach, wobec zadań odbudowy zniszczeń wojennych i przebudowy struktury naszych lasów i gospodarstwa leśnego, zyskała jeszcze na aktualności.

Wcielenie tej idei — to hasło mobilizacji wszystkich sił w społeczeństwie dla odbudowy naszych bogactw leśnych — hasło pomocy leśnikowi w jego trudnych, często przerastających siły zadaniach.

Hasło to podjęli już inni przed nami — nasi bracia w rodzinie narodów słowiańskich.

Ślady zniszczeń lasów w Bułgarii zacierane są ręką bułgarskiego chłopa, chłopskiego dziecka z wiejskiej szkoły, ręką młodzieży robotniczej szkół miejskich...

Zastępy starych i młodych idą dobrowolnie i bezinteresownie sadzić las — bogactwo nowych pokoleń, ochotnie idą pomagać Państwu w wielkim dziele dla tych, którzy przyjdą po nas.

Dobre przykłady winniśmy skwapliwie naśladować.

Ale czy trzeba mówić o tym czytelnikom Łowca Polskiego — myśliwym, tak bardzo, tak serdecznymi więzami najgłębszego umiłowania zespolonym z knieją?

Wśród nas idei poszanowania lasu propagować nie trzeba i dlatego też, nie o tych sprawach chcemy Wam w dniach Święta Lasu mówić.

W dniu tego święta i naszego również święta, rzucić raczej chcemy okiem wstecz — w la-

ta ubiegłe i porównać przeszłość z dniem dzisiejszym leśnictwa polskiego. Uzmysłowić sobie zmiany, jakie dokonały się w dzisiejszej rzeczywistości i należycie ocenić wagę tych zmian, z których nie wszyscy dostatecznie zdają sobie sprawę.

***

MAMY dziś osobne Ministerstwo Leśnictwa. Nie sądźcie i nie mówcie, że to nic nie znaczy. Że nie jest to nic więcej, jak zmiana nazwy dawnej Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych.

Znaczy to wiele, wiele dla polskiego leśnictwa.

Znaczy to, że całe społeczeństwo uznało wagę zagadnień leśnych w całokształcie życia gospodarczego kraju.

Znaczy to, że interesy lasów i leśnictwa zyskały dziś swego własnego rzecznika na ławach ministrów i na trybunie parlamentarnej.

Znaczy to, że gospodarstwo leśne doczekało się uznania jego wagi, odrębności i swoistego charakteru.

A potem rzecz druga — rzecz o jeszcze doniośle̜jszym znaczeniu — to upaństwowienie własności leśnej i wielkiego przemysłu drzewnego. Prawie całe gospodarstwo leśne kraju jest dziś zjednoczone pod wspólnym kierownictwem administracji państwowej.

Struktura gospodarstwa leśnego, jako całości, w Polsce przedwrześniowej zupełnie była odmienna od obecnej. Gospodarstwo leśne rozpadało się wówczas na trzy odrębne, sprzeczne w swych tendencjach dziedziny, a mianowicie — państwowe gospodarstwo leśne z własnym aparatem pierwiastkowego przemysłu drzewnego, prywatne wielkie i małe gospodarstwo leśne, wreszcie prywatny przemysł drzewny, jeśli uznamy jego organiczną łączność z lasem, jako podstawą surowcową dla tego przemysłu.

Każda z tych dziedzin rządziła się wówczas własnymi prawami, uprawiała własną politykę gospodarczą, sprzeczną często z pozostałymi, co uniemożliwiało w rezultacie przeprowadzenie jednolitej linii wytycznej dla całokształtu spraw leśnictwa i drzewnictwa w Polsce.

Każda z tych dziedzin miała odrębny, działający na własną rękę, ośrodek dyspozycji, względnie osobny aparat nadzoru ze strony władz Państwa.

Administracja lasów państwowych podporządkowana była Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych w ramach organizacyjnych Ministerstwa Rolnictwa.

Nadzór nad prywatną gospodarką leśną sprawowało również Ministerstwo Rolnictwa przez inną znów komórkę organizacyjną.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że nadzór ten nie był wystarczający i nie zapobiegał dewastacji lasów wobec przeważających naogół krótkowzrocznych tendencji właścicieli do wyciągania doraźnych korzyści z pozostających w ich władaniu bogactw leśnych. W rezultacie odbiło się to fatalnie na jakości i przyroście lasów stanowiących przed wojną około 60% całkowitej powierzchni leśnej kraju.

Prywatny przemysł drzewny najróżniejszych kategorii zorganizowany był we własnych związkach i porozumieniach przemysłowo-handlowych, kierując się w swej polityce wytycznymi, które nie uwzględniały bynajmniej postulatów strony hodowlano-pielęgnacyjnej gospodarstwa leśnego.

***

TAK sprawy przedstawiały się w czasach przedwojennych.

Dzisiejsza rzeczywistość jest inna i stawia przed gospodarstwem leśnym nowe, rozszerzone zadania, zarysowujące się na tle odmiennej struktury społecznej i gospodarczej kraju.

Dawny ustrój liberalizmu gospodarczego ustąpił przed planową gospodarką Państwa w kluczowych dziedzinach życia gospodarczego.

Lasy i przemysł drzewny w olbrzymiej większości zostały upaństwowione, wchodząc jako jednolita już całość w skład aparatu gospodarczego kraju. Dawna rozbieżność dążeń i celów między takim, czy innym przemysłem drzewnym, państwowym czy prywatnym gospodarstwem leśnym, należy dziś do bezpowrotnej przeszłości.

Dziś Państwo Polskie prowadzi jednolitą i świadomą celu politykę leśną dostosowaną do całości postulatów życia gospodarczego kraju.

Podstawowe założenia tej polityki to:

...obrona interesów leśnictwa przez należytą pieczę nad całością obszaru i zapasu drzewnego naszych lasów;

...podniesienie jakości, zdrowotności i produkcyjności drzewostanów przez właściwe unowocześnienie metod gospodarowania;

...harmonizowanie współpracy gospodarstwa leśnego, produkującego surowiec drzewny z przemysłem drzewnym, który się na tym surowcu opiera;

...racjonalizacja przerobu przemysłowego i form zużycia drewna przez zastosowa-

nie zasad najdalej posuniętej oszczędności.

Gospodarstwo leśne w państwie socjalistycznym nie może mieć na względzie samoistnych celów, ale musi być elementem całości mechanizmu gospodarstwa narodowego, podporządkowanym planowemu kierownictwu tego gospodarstwa.

Celem społecznym gospodarstwa leśnego nie może być rentowność kapitalistycznego przedsiębiorstwa, jak to do niedawna bywało, ale troska o zachowanie lasu, jako dobra ogólnego dla zaspakajania potrzeb społecznych.

Pod pojęciem socjalistycznej rentowności czy opłacalności gospodarstwa leśnego rozumieć należy nie doraźnie osiągniętą skalę zysków przez liberalistyczną gospodarkę, pod dyktando prawa podaży i popytu, ale racjonalne i oszczędne wykorzystanie masy drzewnej przy zaspokajaniu potrzeb społecznych, którym ma ono służyć.

**
*

GOSPODARSTWO leśne w ciężkiej i trudnej dziś znajduje się sytuacji. Ma przed sobą ogrom zadań w stosunku do palących potrzeb kraju i w stosunku do potrzeb własnych dla utrzymania i podniesienia produkcji, zabliźnienia ran zadanych przez wojnę, podniesienia stanu lesistości kraju.

Dość przypomnieć, że straty wojenne lasów Polski szacuje się na 3 i pół miliarda złotych przedwojennych, że Niemcy w latach okupacji wyrąbali 17-letni etat rębny, wycinając w pień lub zrębując silnie obszar blisko miliona ha lasów i zabierając okrągło 120 milionów m³ masy drzewnej.

Jak wyglądały nasze lasy bezpośrednio po wojnie — wszyscy pamiętamy. Pamiętamy te zwały drewna zrąbanego, porzuconego w lesie lub na składnicach, bogactwo niepotrzebnie zmarnowane.

Pamiętamy chaos pierwszych miesięcy, rozbity aparat niemieckiej administracji leśnej, opuszczone leśniczówki, popalone tartaki, pustkę i głuche bezludzie lasów Ziem Zachodnich.

A potem przyszedł gigantyczny wysiłek nowych ludzi, nowej Polski.

Przyszedł ciężki trud uchwycenia wszystkiego w dłonie, uporządkowania, pokierowania na właściwą drogę pracy.

Przyszły dni zaciekłej walki z drobnym, nieuchwytnym szkodnikiem leśnym, który skradał się cicho w ślad za innymi skutkami wojny — walki z kornikiem, sówką, barczatką...

Przyszła fala pożarów z lat 1946 — 1947, pożarów w skutku zaniedbania wojennego lasów i w skutku zbrodniczej ręki sabotażysty.

**
*

LEŚNIK pokonał i pokonuje te i inne trudności, opanowuje sytuację, pracuje dla przyszłości powierzonego jego pieczy wielkiego dobra narodowego.

Państwo śpieszy lasom z pomocą. Zalesienie zrębów wojennych nieużytków, usuwanie innych śladów wojny z naszych drzewostanów jest uznane za budownictwo gospodarki narodowej — wchodzi do planu inwestycyjnego Państwa.

Idziemy ku lepszemu, radośniejszemu jutru polskiej kniei. Droga do tego jutra jest ciężka, żmudna i długa.

I dlatego może, że jest ciężka i żmudna, dawne „Święto Lasu“ nazwane zostało „Dniem Lasu“ — dniem szarej pracy dla dobra tego lasu.

I dlatego może, że droga jest długa i w pośrodku drogi stanąć nie wolno — „Dzień Lasu“ przedłużamy w okres „Dni Lasu“, przedłużamy pracę dla przyszłości polskiej kniei na miesiąc, na rok cały.

A do tej pracy ramię w ramię, z polskim leśnikiem winien stanąć każdy z nas spod znaku św. Huberta, bo dla każdego z nas knieja jest i do końca życia pozostanie najserdeczniejszym jego umiłowaniem.



Inż. STANISŁAW IHNATOWICZ

Co to jest etyka myśliwska?

KAŻDY członek Polskiego Związku Łowieckiego wciąż słyszy o etyce myśliwskiej. Stale ci, którzy uważają siebie za powołanych znawców spraw łowieckich, za specjalistów w sztuce myśliwskiej, za nauczycieli tzw. „młodszej braci myśliwskiej", to znaczy tych, którzy zapełnili masowo szeregi związku po wojnie — na każdym kroku, dzień w dzień uporczywie twierdzą, że należy nowych członków nauczyć etyki myśliwskiej, bo ci nowi członkowie Związku nie znają tej etyki, nie wiedzą, co to jest etyka myśliwska, nie umieją postępować etycznie.

Szczególnie stare kadry przedwojenne Związku Łowieckiego nagminnie rwą się do roli wychowawców szeregów powojennych członków Polskiego Związku Łowieckiego w etyce myśliwskiej. Toteż naturalnym biegiem rzeczy wyrosło pytanie zasadnicze: co to jest etyka myśliwska?

Na pytanie to trzeba dać zasadniczą odpowiedź, która wyświetli sprawę „etyki myśliwskiej" i uniemożliwi tworzenie jakiegoś specjalnego klimatu, niezdrowej atmosfery wokół tej sprawy. Człowiek pracy, bądź to robotnik czy chłop, czy też nawet przeciętny tzw. inteligent — nie jest biegły w sztuce filozofowania, nie posiada umiejętności kuglarza żonglowania pustymi dźwiękami myśli oderwanych, nie przedmiotowych. Ba, wystarczy zadać pytanie „Co to jest etyka?", nawet dobrze oczytanemu, nieprzeciętnemu inteligentowi — a przekonamy się, że otrzymamy odpowiedź wysoce niejasną, bałamutną, chwiejną, niezrozumiałą, najeżoną mnóstwem omówień, zastrzeżeń i sprzeczności.

Ze sprawy tzw. „etyki myśliwskiej" zrobiono jakiegoś bożka łowiectwa, którym straszy się ludzi.

Oczywiście, taki stan rzeczy nie może być tolerowany. Sprawa musi być wyjaśniona, szeroki ogół myśliwych musi jasno, wyraźnie zdawać sobie sprawę z tak zwanej „etyki myśliwskiej" i nie może pozostawać w niewiedzy.

Przed wojną, w którymś tam roku, słynny Cat-Mackiewicz, znany ideolog faszyzmu sanacyjnego, wychowanek duchowy żubrów wileńskich (najbardziej reakcyjnych obszarników) — dopuszczony został na teren Związku Radzieckiego, aby mógł zetknąć się z rzeczywistością nowego życia, opartego na szczytnej idei socjalizmu, realizowanego przez nowe socjalistyczne społeczeństwo. Po powrocie p. Cat-Mackiewicz dał wyraz swym przeżyciom i zrozumieniu nowego świata w książce pod tytułem „Myśl w obcęgach". Był to plugawy pamflet na całość życia radzieckiego; p. Cat-Mackiewicz w tym pamflecie starał się uzasadnić, że materializm marksistowski przekształca człowieka w maszynę bezduszną, w dziką bestię krwiożerczą, pozbawia go wolności i godności ludzkiej. Niewolnik nienawiści klasowej, żyjący z cudzej pracy, żerujący u stołu jaśniepańskiego najwsteczniejszej warstwy obszarniczej — żubrów wileńskich, opierających swe istnienie i rację bytu na ucisku i wyzysku człowieka przez człowieka, arcypasożyt pasożytów nie mógł zrozumieć, że prawdziwa wolność i rzeczywista godność ludzka może się opierać jedynie i wyłącznie na zespołowej pracy społecznej. W jego ciasnym, zaślepionym nienawiścią klasową umyśle nie mogło się w żaden sposób pomieścić zrozumienie, że likwidacja nielicznej klasy pasożytów, żyjących z cudzej pracy, z wyzysku i ucisku wielomilionowych mas pracujących — jest słusznym wyrokiem historii, przywracającym tym masom wolność i godność ludzką, że zmuszenie do pracy pasożytów jest wymierzeniem sprawiedliwości, jest przywróceniem zwichniętej równowagi w rozwoju społeczeństwa ludzkiego.

Stanowisko tego plugawego pamflecisty, który obecnie z bezpiecznej odległości tzw. „emigracji londyńskiej" zdradza własny naród i ojczyznę za judaszowe srebrniki anglo-saskiego imperializmu — pokrywa się dokładnie i całkowicie ze stanowiskiem papieży watykańskich. Bo oto papież Leon XIII w swej encyklice nazwał komunizm „śmiertelną zarazą, która atakuje sam rdzeń społeczności ludzkiej po to, by ją zniszczyć", a papież Pius XI w dwóch encyklikach, wydanych w 1931 r. napada wprost na komunizm i Związek Radziecki, głosząc między innymi, że „Tam, gdzie komunizm osiągnął władzę, okazał się dziki i nieludzki w taki stopniu, że zaledwie można w to uwierzyć, graniczy to już niemal z czymś nieprawdopodobnym, jak o tym świadczą niesłychane masakry i ruiny, które komunizm nagromadził w niezmierzonych krajach Europy Wschodniej i Azji...", a dalej wyklinając tę „plagę szatańską" — papież pisał: „*Komunizm okrada człowieka z jego wolności — duchowej podstawy jego moralnego postępowania* — odbiera osobowości ludzkiej to wszystko, co stanowi o jej godności, to wszystko, co się sprzeciwia w *imię moralności* najazdowi ślepych instynktów...", i dalej w tejże encyklice mówi papież: „nawet w dziedzinie *ekonomii* nie można się obyć bez *moralności*, bez moralnego uczucia odpowiedzialności, dla którego nie ma miejsca w systemie materialistycznym jak komunizm". Wystarczy tym twierdzeniom „moralnym" papieży z ostatniego siedmdziesięciolecia przeciwstawić rzeczywistość zarówno podczas pierwszej wojny światowej i okresu powojennego, jak i podczas drugiej wojny światowej i aktualnej rzeczywistości dnia bieżącego, aby cały fałsz i obłuda tej „moralności papieskiej" stały się dla każdego nieuprzedzonego człowieka

oczywistymi. Wtedy, gdy cały świat prostych ludzi, ludzi pracy fizycznej i umysłowej, miliard ludzi na czele właśnie z tym wyklinanym przez papieży Związkiem Radzieckim — mobilizuje solidarną opinię, przeciwstawiając się podżegaczom imperialistycznym, organizatorom nowej światowej rzeźni ludzkości — akurat wtedy ci wielcy „moraliści", w imieniu których przemawiają papieże watykańscy, nie mają ani słowa potępienia dla organizatorów ludobójstwa. Przeciwnie, stają w ich obronie, znajdują dla nich słowa zachęty i otuchy, wyrazy pocieszenia i błogosławieństwa.

Czy jest to przypadek? czy może tak się złożyło, że ci dwaj cytowani papieże watykańscy byli złymi ludźmi? oczywiście, że nie. Wystarczy uprzytomnić, co mówi o tym historia. Sobór w Gangra 358 r. rzuca klątwę na tego, ktoby domagał się zniesienia niewolnictwa, „Wielki moralista" św. Augustyn orzeka, że „niewolnictwo zostało ustanowione przez boga, a jeśli kto chce je znieść ten sprzeciwia się woli bożej". Ustrój poddaństwa jest wytrwale broniony przz organizację kościelną. Ustrój kapitalistyczny, a obecnie jego stadium gnijące t.zw. imperializm, nie posiadają lepszego i mocniejszego obrońcy od organizacji kościelnej z głową w Watykanie. A wszystko to się robi w imię nienaruszalnoności *„odwiecznych praw moralnych"*. Właśnie „odwiecznych praw moralnych", bowiem analiza historyczna wykazuje, że tak zwane „prawa moralne", „moralność" zostały ludzkości dane przez boga, którego człowiek nie jest w stanie poznać, bo bóg jest niepoznawalny. Okazuje się tedy, że „moralność" jest z góry nam dana przez kogoś, kogo człowiek nawet poznać nie może. Fakty zaś historyczne cytowane powyżej w sposób niezbity, namacalny, oczywisty udowodniają, że ta „moralność" dana rzekomo człowiekowi przez boga, jakoś tak dziwnie zawsze i wyłącznie służyła klasowemu interesowi posiadaczy, służyła wiernie w obronie posiadania wszelkich dóbr przez klasę panującą w danej epoce historycznej. W okresie niewolnictwa broniła interesów posiadacza niewolników, w okresie feodalizmu broniła własności ziemskiej, pana feodalnego władającego poddanymi, w okresie kapitalizmu we wszystkich jego stadiach aż do imperializmu dnia dzisiejszego broniła i nadal broni stanu posiadania kapitalistów, całej klasy kapitalistów. I to ma być wszystko „moralność" dana od boga!

Jeżeli dziś zapytamy prawowiernego watykańczyka, czy moralnie jest, aby w Europie jedni byli panami niewolników a drudzy niewolnikami panów — to prawdopodobnie z oburzeniem odparł by, że nawet postawienie takiego pytania byłoby „niemoralne", a cóż dopiero sam fakt istnienia niewolnictwa. I tu właśnie jest miejsce na przypomnienie orzeczenia św. Augustyna, uznawanego ponad wszelką wątpliwość przez każdego prawowiernego watykańczyka za nietykalny autorytet „moralny", za św. Ojca Kościoła, a przecież nie kto inny, jak właśnie ten św. Augustyn orzekł autorytatywnie, że: „niewolnictwo zostało ustanowione przez Boga, a jeśli kto chce je znieść, ten sprzeciwia się woli bożej", cytat z „Państwa Bożego". Jak tedy wygląda ta „moralność" dana od boga? Nie tylko okazała się „tykalną", ale dziś przeciwstawia się wprost temu, co wczoraj było uznawane za „moralne" i „nietykalne". W tym miejscu należy przypomnieć filozofa Nietzschego, który dopóty rozwijał swe teorie o „moralności" i jej pochodzeniu, aż znalazł chętnego i pojętnego ucznia w osobie ludobójcy Hitlera, który starał się wprowadzić je w życie, zatapiając połowę świata w morzu krwi, przywracając stosunki niewolnicze w Europie w postaci jeszcze bardziej potwornej niż to miało miejsce w epoce ustroju niewolniczego. A wtedy, gdy Hitler był u szczytu swej kariery, a potym, gdy został obalony siłą potęgi Związku Radzieckiego, tego zorganizowanego świata komunizmu, — czy „moraliści" z pod znaku papieży watykańskich znaleźli choć jedno słowo potępienia, nie mówię już wyklęcia, ale chociażby najsłabsze słówko potępienia dla ludobójcy Hitlera i dla systemu hitlerowskiego? Nie, oni, ci „wielcy moraliści" watykańscy nie tylko nie znaleźli ani słowa potępienia, lecz przeciwnie, solidaryzowali się z nim, sprzyjali mu, wspierali go. Ujawnione tajne archiwa hitlerowskie dostarczyły wielu dokumentów na to, zostały one opublikowane przez Związek Radziecki do wiadomości całego świata.

Natomiast i dziś ci „moraliści" watykańscy nadal wyklinają Związek Radziecki. Pod tym względem ich stanowisko nie uległo żadnej zmianie. Przeciwnie, zaostrzyło się i pogłębiło, o czym świadczy cały szereg publicznych procesów różnych zdrajców, dywersantów, szpiegów i wszelkiego rodzaju i typu arcyłotrów, wśród których honorowe miejsce w pokaźnej liczbie zajmują tak zwani słudzy kościoła watykańskiego, którzy osądzeni prawomocnymi wyrokami skazującymi Sądów Demokracji Ludowych — jednak nie zostali potępieni ani wyklęci przez papieża.

Taką jest „moralność objawiona", ich moralność, która nie ma w sobie nic ludzkiego. Jest to poprostu arcyprzemyślne jedno z narzędzi utrzymania panowania klasowego posiadaczy na całej przestrzeni dotychczasowj historii rozwoju społecznego. Jest to narzędzie okrutne, wyrafinowane, bowiem działa powoli, stopniowo, jak powolnie działająca trucizna o smaku ckliwym mdławo-słodkawym, odurzającym. Okalecza ono na całe życie człowieka duchowo tak, że tylko z wielkim trudem w uporczywej, długotrwałej walce ludzkość zdoła się wyzwolić z pod działalności tej trucizny, odzyskać zdrowie *moralne*.

Lecz cóż to ma wspólnego z etyką myśliwską a tym bardziej z pytaniem, co to jest etyka myśliwska? A właśnie, teraz dopiero może być jasnym, co to jest etyka wogóle, a etyka myśliwska w szczególności. Oto etyka to jest nic

innego, jak moralność. Żadnej istotnej różnicy pomiędzy moralnością a etyką niema. Ongiś objawiona przez boga „moralność“ obejmowała całokształt życia człowieka, wkraczała w każdy najdrobniejszy szczegół jego postępowania i klasyfikowała ogólnie, że to i owo jest „moralne“ a tamto i inne — jest „niemoralne“. Taki podział wystarczał, bo życie społeczne nie było zbyt skomplikowane, a stosunki gospodarcze między poszczególnymi skupieniami nie były zbyt ożywione. Lecz w miarę wzrastania ludności, rośnięcia i większego ożywienia życia społecznego, komplikowania się stosunków społecznych — tak uproszczony sposób podziału na „moralne“ i „niemoralne“ okazał się niewystarczający. Samo pojęcie moralności ulegało częstym atakom. Przeto klasy panujące zmuszone były do wysuwania nowych określeń, nowych słów, któreby lepiej mogły maskować starą treść panowania klasowego, wyzysku i ucisku człowieka przez człowieka. I tak jak człowieka wszelkie religie sztucznie rozdwoiły na ciało i duszę, tak samo moralność rozdwoiła się na „moralność“ i „etykę“. Zaczęto pisać i publikować rozprawy o „moralności“ i „etyce“, zaczęto urabiać opinię, że mogą istnieć postępki „nieetyczne“, aczkolwiek mogą być one popełnione przez ludzi wysoce moralnych, i odwrotnie, można popełnić czyn „niemoralny“ pozostając całkowicie w zgodzie z etyką.

To ciężkie niezdarne mędrkowanie jednak odniosło swój skutek, wbiło w świadomość przeciętnego człowieka, iż „moralność“ i „etyka“ — to są dwie zgoła odrębne rzeczy. A stąd już tylko jeden krok do sławetnego określenia „etyka myśliwska“, ale na pocieszenie czytelnika należy dodać, tak samo mówi się, że istnieje „etyka sportowa“, „etyka kupiecka“, „etyka przemysłowa“, „etyka finansowa“ it.p.

Lecz wystarczy postawić pytanie tym wszystkim „moralizującym“ i „etycznym“ ludziom co to jest „moralność“, a co to jest „etyka“ otrzymamy tyle odpowiedzi, ilu będziemy pytać. Faktem jest, że to co jeden uważa za czyn niemoralny, inny twierdzi, że to jest czyn nieetyczny i z moralnością nic nie ma wspólnego. W ustroju burżuazyjnym wszystko to co przynosi zysk kapitaliście i obszarnikowi, co wzmacnia i utrwala ich panowanie klasowe — jest dla nich i moralne i etyczne, wszystko inne, co narusza ich stan posiadania, odbiera im zyski— piętnowane jest mianem czynu niemoralnego i nieetycznego. Dla świata kapitalistycznego, dla imperialistów ich ‚moralność“, ich „etyka“ są ważniejsze, niż człowiek. Niech zginie człowiek, niech giną w strasznych męczarniach miliony ludzi, ale ich „moralność“, ich ‚etyka“ muszą pozostać nie naruszone. Dla ich „moralności“ i ‚etyki“ zysk, posiadający wagę, próbę i dźwięk metalu — jest najwyższym bogiem, przed którym człowiek musi padać plackiem, czołgać się na brzuchu i oddać każdej chwili ostatnie tchnienie. My materialiści, my marksiści — leniniści — na taką „moralność“ i „etykę“ nie godzimy się i nigdy się z nią nie pogodzimy, niezależnie od tego, czy dowyrazu „etyka“ będzie dodany przymiotnik „myśliwska“ czy jaki inny.

My budujemy nową, swoją moralność, nową, swoją etykę, uzbrojeni w wiedzę rzeczywistą, w materializm dialektyczny — przeprowadzamy bezlitosną krytykę wszelkich dotychczasowych systemów „moralności“ i wykazując, iż za podłoże służy tym systemom obskurantyzm, nieuctwo, fikcje myślowe, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością, powstawanie zaś i utrwalanie się tych „moralności“ i „etyczności“, ich praktyczne przepisy, wyjaśniamy i tłomaczymy przy pomocy socjologii i historii rozwoju społecznego.

Jako materialiści nasze postępowanie, zasady naszego postępowania ustalamy w oparciu o wiedzę, jej zdobycze i stały rozwój, a jako dialektycy — uzbrajamy naszą świadomość w pełną sensu życiowego skuteczność postępowania, gdzie człowiek jest najważniejszą istotą, któremu cała przyroda musi być podporządkowana i winna służyć dla jego dobra, jako jednostki społecznej.

Mając przed sobą jasno wytknięty cel, naukowy sposób i metodę postępowania oczywiście, nie możemy przyjmować jakiejś „etyki myśliwskiej“, wywodzącej się i tkwiącej swymi korzeniami w burżuazyjno-watykańskiej glebie, wydającej zatrute owoce, po spożyciu jakowych następuje na całe życie moralne okaleczenie człowieka. Nie będziemy bawić się w „etykę“ i nie „etykę“ — lecz poprostu będziemy opracowywać i ustalać prawidłowe, racjonalne, zgodne z potrzebami zarówno myśliwego jak i gospodarki ogólnonarodowej, postępowanie, obowiązujące każdego, który będzie chciał pracować na polu gospodarki łowieckiej i jednocześnie uprawiać praktycznie myślistwo. Wystarczy nazwa prosta i zrozumiała dla każdego, chociażby „zbiór obowiązujących praktycznych przepisów prawidłowego postępowania w łowiectwie“, co będzie można w miarę potrzeby, podzielić na dwie części: „Kodeks łowiecki“ i „Kodeks myśliwski“.



ZBIGNIEW KOWALSKI

Polowanie na rogacze

(rady i wskazówki praktyczne)

SPOTKANIE i strzelenie rogacza w dobrych łowiskach nie przedstawia specjalnych trudności. Zdobycie jednak rogacza, takiego jakiego się chce, to znaczy kapitalnego czy wybitnie selekcyjnego, starego mądralę, wstecznika albo też szybkie, a właściwe rozpoznanie i oddanie strzału do przemykającego się przez dukt myłkusa, są to sztuki nie lada. Z tych też względów, aby ułatwić odstrzał hodowlany kolegom myśliwym chcę podać najbardziej wyczerpujące wskazówki i rady praktyczne odnośnie polowań na rogacze.

Sposoby polowania na rogacze są następujące:

1) **Czaty (zasiadka).**
2) **Podjazd.**
3) **Podchód.**
4) **Naganka.**
5) **Mała naganka.**
6) **Wab.**

1. CZATY (ZASIADKA)

Polowanie na rogacza na zasiadkę może się odbywać z ambony, zbudowanej jako czatownia na jelenie, ale będzie równie skuteczne z małej, prowizorycznej, skonstruowanej specjalnie dla tego rodzaju łowów, ambony. Mała ambona składa się z samej drabiny, wysokości 3 — 5 m, zakończonej niewielką 50 x 50 cm w kwadrat platformą, umieszczoną w konarach grubego drzewa. Zwyczajna budka z gałęzi, zrobiona na wzór budki używanej na cietrzewie, jednak bez wykopanego dołka w ziemi, spełni też dobrze zadanie ukrycia dla czat. Zdarza się też, że czaty na rogacza owocne będą po prostu w gęstym krzaku lub ukryciu za grubym drzewem.

Zaznaczam jednak, że na poszukiwanego i mądrego rogacza ostatni ten sposób nie jest wystarczający. Toteż przy odstrzale selekcyjnym nie polecam go bynajmniej.

Czaty z małej ambonki mają przeważnie miejsce na brzegu łąk, halizn i zrębów, zaś czaty w budce — na skrzyżowaniu duktów leśnych. Zaznaczam, że w czasie czat na skrzyżowaniu duktów wskazanym jest tak oczyścić linię z gałęzi, aby myśliwy miał wygodny widok na cztery strony świata. Podkreślić też należy, że sposób czat na skrzyżowaniu duktów, bądź w ogóle na dukcie, jest na ogół mało znany naszej braci myśliwskiej. Tymczasem dla spotkania ze starym, mądrym rogaczem jest to prawie jedyny możliwy sposób polowania, który daje dodatnie rezultaty. Taki stary rogacz wychodzi bowiem na żer późno, przeważnie o świetle, uniemożliwiającym już strzał, albo nie pozwalającym jeszcze na oddanie strzału. Tymczasem, znając miejsce przechodów poszukiwanej sztuki, jest niezbyt trudno spotkać ją na linii, przez którą wędruje wieczorem ze swych dziennych legowisk na żerowisko i wraca rankiem.

Na czaty na rogacza należy zasiąść wcześnie. Wieczorem wskazanym jest być na miejscu na półtorej godziny przed zachodem słońca, rankiem na godzinę przed wschodem słońca. Na czatach należy zachowywać się cicho i spokojnie, przestrzeganie jednak tak wielkiej ostrożności, jak w czasie polowania na jelenie, nie jest konieczne. Wieczorem należy pozostawać na zasiadce aż do kompletnego zmroku, rankiem do godziny 8 rano. Najlepszym okresem czasu do zasiadki jest druga połowa maja i cały czerwiec.

Ze strzałem na czatach nie należy się śpieszyć dopóki nie ocenimy dokładnie figury, zachowania się i poroża obserwowanej sztuki. Strzelając w czasie zasiadki przeważnie przez lunetę lepiej też odczekać i strzelać nawet na trochę dalszą metę, niż ryzykować strzał bliższy, ale w pozycji niewygodnej: na sztych, przez gałęzie czy do grzbietu tylko sztuki schowanej w trawach. Jako zasadę należy przyjąć: strzelać wtedy, kiedy sztuka stanie do nas bokiem.

Przestrzegam też przed strzałem do rogacza z ambony prosto pod nogi, gdyż strzał w tak niecodziennej pozycji powoduje często pudła.

Należy pamiętać, że jeżeli rogacz spłoszony ruszy skokiem, też nie należy się śpieszyć ze strzałem w biegu, gdyż ciekawy zwierz prawie zawsze zatrzyma się przed linią lasu, a często po przebiegnięciu kilkudziesięciu kroków stanie, oglądając się poza siebie.

Czaty udają się też w pobliżu miejsc wybieganych przez goniące się sarny (krążki) w czasie rui w końcu lipca i początku sierpnia.

2. PODJAZD

PODJAZD jest sposobem polowania na rogacze najbardziej może rozpowszechnionym i najbardziej owocnym. Należy jednak pamiętać o kilku podanych poniżej zasadach, aby łowy były naprawdę udane.

Przede wszystkim podjazd wszelkimi wozami w deskach lub na wysokich siedzeniach ze słomy, wywrotnymi bryczuszkami i poznańskimi koczami na wysokich kołach, jest mocno niepraktyczny, gdyż zeskakiwanie z takich wehikułów bez stopnia, albo po stopniu niewygodnym na kształt małej szufelki, stanowi wyczyn ekwilibrystyczny. Najpraktyczniejszy do podjazdu jest zwyczajny wóz jednokonny ze zdjętymi deskami czy drabinkami. Jako siedzenie wystarczy wypchany skąpo sianem worek, rzucony na spodnią deskę, za to konieczny jest łańcuch, przymocowany do przedniej i tylnej kłonicy dla oparcia nóg jadących.

Zaznaczam, że sarny mniej boją się hałasującego, o znajomym turkocie wózka, niż nieznajomej, lakierowanej bryczki, toczącej się bezszelestnie na gumach.

Najlepszym okresem polowania na podjazd jest druga połowa maja, czerwiec, druga połowa lipca, pierwsza połowa sierpnia i październik. Najlepszy podjazd jest w drugiej połowie maja i początku czerwca. Sarny w tym okresie są ruchliwe, szukając świeżej trawy i pędów; zalegają późno i ruszają wcześnie na żer. Ponadto łatwo jest poznać po zmianie sukni i wytarciu rogów sztukę właściwą do odstrzału. W końcu czerwca trawa w gąszczach podrasta, stając się dobrą paszą i wtedy to sarny jakby nikną, ukazując się dopiero z powrotem około 20 lipca, to znaczy z chwilą rozpoczęcia się rui.

Zwracam specjalną uwagę kolegów myśliwych na podjazd jesienny, gdyż na ogół polowanie z podjazdu w październiku jest bardzo mało praktykowane. Las jesienią już dość przejrzysty, pozbawiony liści, sarny zmieniają ostoje na zimę i przez to włóczą się jak i wiosną po lesie. Poza tym, podczas październikowego podjazdu, zmiana sukni sarn na zimową i zrzucanie poroża ukażą nam bez błędu właściwą sztukę do odstrzału.

Wieczorny podjazd należy rozpoczynać na dwie godziny przed zachodem słońca, szukając spotkania najprzód po brzegach gęstych zagajów, po drągowinach oraz w miejscach, którymi sarny idą na żerowisko. O zachodzie słońca należy przejechać wzdłuż kultur, polan, śródleśnych łąk, zrębów i deputatów. O lekkim zmroku spenetrować brzegi lasu, szukając rogacza w oziminach, koniczynach, mieszankach czy podleśnych łąkach, w zależności od pory roku.

Pogoda, w której czasie podjazd daje najlepsze rezultaty, to ciepły słoneczny wieczór, najlepiej po burzy czy deszczu. Budzący się dzień, chłodny, słoneczny i siwy od rosy, wróży najlepsze polowanie. Poranny silny wiatr, ulewny deszcz, przejmujące zimno, dają małe szanse na spotkanie. W czasie ciepłych siąpiących deszczów, w pogodę bezwietrzną, bardzo owocny podjazd będzie w drągowinach i starodrzewiu, gdzie jako runo leśne widzimy słodką trawę, jeżyny i maliny.

Podjeżdżając rogacza należy pamiętać o dwóch niewzruszonych zasadach: po pierwsze, nie można jechać wprost na stojącą sztukę,

po drugie, nie należy zatrzymywać się w czasie jej objeżdżania. Zeskakiwać z wózka należy też w ruchu. Zeskoczyć powinien myśliwy ruchem nieznacznym i w takim miejscu, aby ukryć się od razu za krzakiem, a jeszcze lepiej za pniem, który stanowić będzie jednocześnie oparcie dla sztucera. W parę chwil po odjechaniu wózka należy dopiero lornetować w kierunku podjeżdżanej sztuki, kiedy rogacz skieruje wzrok od miejsca, w którym zeskoczył myśliwy, za odjeżdżającym wózkiem. Jeżeli po zeskoczeniu z wózka myśliwy dobrze nie widzi sztuki, wskazane jest, by przesunął się on wraz z jadącym wózkiem do takiego miejsca, skąd dostatecznie zobaczy zwierza.

Często też w miejscu, gdzie zeskoczyliśmy, ukształtowanie terenu czy zgrupowanie drzew zasłaniają nam sztukę. W tym wypadku można przesunąć się, ale nie więcej niż dwa, trzy kroki. Jeżeli po takim przesunięciu się jeszcze sztuki nie widać, należy nieznacznym ruchem przywołać wózek, który powinien okrążyć szeroką woltą, wsiąść nań i po powtórnym zakręceniu, zeskoczyć w innym dogodnym do strzału miejscu. Przesuwającego się myśliwego rogacz bowiem łatwo zobaczy i pryśnie w gąszcz. Toteż woźnica czy gajowy, odjeżdżając po zeskoczeniu myśliwego, winien raz po raz oglądać się czy ten nie przywołuje go z powrotem. Woźnica powinien po zeskoczeniu myśliwego odjechać co najmniej na odległość 200 metrów i dopiero stanąć, a o ile strzał padł w tym czasie, czekać spokojnie aż myśliwy nadejdzie.

Jeżeli sztuka nie dotrzymała, należy zacząć objeżdżanie w kierunku, w którym przypuszczalnie poszła. Jeżeli rogacz odbiegł bez straszenia, przeważnie podjedziemy go po raz drugi.

Jadąc wzdłuż zrębów czy innych odkrytych miejsc po zlornetowaniu halizn, należy baczyć pilnie na miejsca zakryte, gdzie często dostrzeżemy rogacza. Jadąc drągowiną sadzoną w szeregu, baczyć należy pilnie w każdy szereg. Po dostrzeżeniu sztuk nie zeskakiwać i nie cofać się, co rogacz zawsze zobaczy, ale zatoczywszy wózkiem koło zeskoczyć we właściwym miejscu.

Jeździć należy w czasie podjazdu wolno, krokiem. Popędzać można tylko w miejscach, gdzie rogacz nie jest spodziewany, bądź w gąszczach, gdzieby go i tak się nie wypatrzyło.

Na skrzyżowaniu duktów wskazane jest szybko rzucić okiem na prawo i lewo, gdyż sarny często pasą się na linii oddziałowej czy drodze.

Przed wyjazdem na podjazd trzeba sprawdzić czy wóz nie hałasuje, nie brzęczy żelastwem i czy zbyt głośno nie skrzypią nienasmarowane koła.

Koń powinien być spokojny, raczej flegmatyczny. Woźnica spokojny, dobrze znający las, drogi i dukty. Głośne rozmawianie w czasie podjazdu nie jest wskazane.

W czasie rui spotkać się może myśliwy z goniącymi się sarnami przez cały dzień, toteż podjazd trwać winien dłużej i zaczynać się wcześniej.

Do niewielkich łączek i pólek, na których, w razie wyjechania wózkiem zbyt blisko, spotkalibyśmy się z pasącymi się sztukami, należy podchodzić, zostawiając wózek o 100 — 150 metrów od miejsca podchodu.

Jeżeli w drągowinie lub starodrzewiu najechaliśmy na sztukę zbyt blisko, to o ile widoczność jest niezła, należy wózkiem kawałek odjechać i zeskakiwać na odległość nie bliższą niż 50 — 60 kroków, by sztuki nie spłoszyć.

W lesie możemy bez obawy spłoszenia sztuki podjeżdżać na odległość 50 — 60 kroków, na polu i łąkach na 120 — 150 kroków, przy czym widząc, że sztuka niepokoi się, przestała się paść i oczy zwróciła w kierunku wózka, należy po rozpoznaniu jakości poroża i figury decydować się na strzał szybko, gdyż w innym wypadku sztuka ruszy.

Jeżeli podjeżdżamy w czasie rui, należy zwracać baczną uwagę na zachowanie się siuty: jeżeli koza jest spokojna możemy podjeżdżać dalej, gdyż rogacz w bardzo rzadkim tylko wypadku odejdzie od swej towarzyszki.

Gdy spotkamy sztukę leżącą, często niewygodnie jest do niej strzelać ze względu na wysokość trawy czy krzewów, w których ona zaległa. Wskazane jest, nie śpiesząc się ze strzałem, chwilę poczekać, aż sztuka wstanie albo też, gdy jest już późny ranek lub jest to zmęczony rogacz w czasie rui, zawabić bądź cmoknąć. Sztuka, usłyszawszy głos, który nie budzi w niej obaw, przeważnie wstanie, rozglądając się uważnie dokoła i nie ruszając się z miejsca.

Strzelać z wózka nie należy nigdy, gdyż po zatrzymaniu wózka koń trzęsie zawsze dyszlami, opędzając się od much i bąków, a poza tym strzał może się stać niebezpieczny przy naciągniętym przyśpieszniku.

Strzał z wózka dozwolony jest tylko do sztuki w wysokim zbożu, kiedy jej inaczej nie moglibyśmy dostrzec, ale strzelać wówczas należy bez naciągania przyśpiesznika.

3. PODCHÓD

Łowy na rogacza na podchód były i są w Poznańskim i na Śląsku stale i owocnie uprawiane. W innych okolicach Polski ten sposób polowania niesłusznie uważany jest za zbyt trudny i mało skuteczny.

Rzeczywiście polowanie na podchód jest niepomiernie trudniejsze niż na podjazd, ale przy pewnej wprawie, stosowanie się do podanych poniżej wskazówek praktycznych da myśliwemu niewątpliwie pozytywne rezultaty. Ponadto nie zawsze jest koń i wózek pod ręką, nie zawsze też kieszeń myśliwego wytrzymuje ciężar płacenia 1.000 czy więcej złotych za furmankę.

Podchód należy uprawiać w tych samych okresach, godzinach i miejscach co podjazd. Samo poruszanie się jednak musi być zgoła inne, ciche, ostrożne i powolne. Najlepiej jest podchodzić w batowskich trampkach lub innych butach na gumowej podeszwie. Ubranie winno być stonowane z otoczeniem leśnym, barwy zielonkawej czy szaro-brązowej. Wszelkie mundurowe kurtki z błyszczącymi guzikami i czapki z galonami i srebrnymi emblematami, z daleka łatwe do dostrzeżenia, będą psuły podchód. Zaznaczam, że indiańskie pełzanie i czołganie się do sarn nie daje z reguły żadnego rezultatu.

Do zrębów, łąk i polan leśnych najlepiej jest podchodzić drogą lub wydeptaną dobrze ścieżynką, aby uniknąć stąpania po trzeszczącym posuszu czy gałęziach. Przed pokazaniem się na miejscach otwartych, wskazane jest przejrzeć je przez szkła, by móc zawczasu dostrzec pasącą się sztukę. Dalej należy tak podchodzić, aby głowa sztuki znajdowała się za pniem drzewa, a najlepiej w chwili, kiedy opuści ona łeb i pasie się spokojnie.

Jeżeli sztuka zaniepokojona zacznie oczyć w naszym kierunku, należy się zatrzymać i odczekać, aż się uspokoi, albo też jeżeli odległość nie jest zbyt duża (100 kroków przy strzelaniu bez lunety i 150 kroków przy strzelaniu przez lunetę), szybko złożyć się i strzelić.

Jeżeli zauważymy, że pasące się sztuki posuwają się w naszym kierunku, należy spokojnie czekać, aż podejdą na bliski strzał.

Najtrudniej jest podchodzić rogacza w drągowinach o gęstym podszyciu. Rogacza zauważy się dopiero w ostatniej chwili i to tylko łeb lub wycinek czerwonej plamy ciała. Aby w takim wypadku dobrze rozpoznać sztukę, najlepiej jest odczekać, aż rogacz ruszy naprzód i zabiegać mu drogę na znajomych przesmykach.

Dochodząc do skrzyżowania duktów, wskazanym jest wysuwać się na linię powoli, rozglądając się na obie strony, często bowiem sztuka pasie się w odległości kilkunastu kroków. Po wysunięciu się na dukt wskazane jest pozostać chwilę w bezruchu, a często wysunie się z zagaju sztuka, której posłyszany uprzednio szelest kazał się zatrzymać na skraju gąszczarów.

Bardzo dobrą pomocą do strzelania, szczególnie z lunetą w czasie podchodu, stanowi prosty, długi na 2 metry kij, grubości laski, zrobiony z lekkiego drzewa. Kij taki, skonstruowany z dwóch rozkładających części, jest dla myśliwego

idealną podpórką do strzału i wygląda po rozłożeniu podpórki jak litera X.

4. NAGANKA

Nadmiar sarn może być w łowisku odstrzeliwany na nagankach w czasie ogólnych zbiorowych polowań. Nie wyobrażam sobie jednak, aby tak przeprowadzany odstrzał redukcyjny był odstrzałem prawidłowym.

Zdarza się też, że niektóre kółka odstrzeliwują 1 lub 2 rogacze posiadanę do odstrzału, na jesiennych polowaniach, z powodu zbyt utrudnionego i przykrego losowania, bądź dalekich dojazdów do łowiska. Odstrzał w tych warunkach jest usprawiedliwiony, ale strzelać tylko należy rogacze **z porożem** i tylko kulą.

W każdym razie na takich polowaniach należy pouczyć nagankę, by nie płoszyła i nie rzucała kijami w cofające się sarny, które przestraszone często łamią sobie badyle. Strzelać kulami należy jednak ostrożnie, gdyż sarna idzie wysokimi susami, a kula sztucerowa niesie daleko.

Więcej o tego rodzaju polowaniach nagankowych nie będę mówił.

5. MAŁA NAGANKA

Pragnę jednak zwrócić uwagę, że w pewnych warunkach polowanie z małą naganką (druczki), składającą się z 2—3 ludzi, dobrze znających las i ostoje zwierza, daje dobre rezultaty, szczególnie jeżeli chcemy odstrzelić starego rogacza mądralę, który na zrębach nie chce się pokazywać przed nocą.

Mała naganka powinna posuwać się bardzo wolno, przystając co 20 — 30 kroków, czekając parę chwil, czasem jeden z naganiaczy może złamać w palcach gałązkę, czasem stuknąć kijem w pień. Naganka musi się posuwać w kierunku przesmyków zwierza, mniej licząc się z wiatrem. Ten sposób cichego i bardzo powolnego pędzenia jest konieczny, gdyż sarny mają tendencję do cofania się, a poza tym zbyt szybko uciekający przed naganką rogacz nie może być dokładnie rozpoznany, oceniony i strzelony.

Małe naganki najlepiej jest przeprowadzać w godzinach popołudniowych od 15 do 18, kiedy łatwo jest wtedy ruszyć zwierza, który szykuje się już do wędrówki za żerem.

Pędzenia należy robić niewielkie, głębokie na 200—300 metrów, gdyż rogacz daleko nie daje się pędzić i uderza w tył albo na skrzydła.

Dodam jeszcze, że **specjalne** urządzanie małych naganek na granicy łowiska, aby granicznego rogacza, broń Boże, nie ubił sąsiad, jest sprzeczne ze współczesną socjalistyczną etyką łowiecką, bowiem zwierzyna stanowi wspólne bogactwo wszystkich obywateli Państwa.

6. WAB

Polowanie na wab na rogacza polega na naśladowaniu głosu młodej kózki. Wabić można na listku brzozowym lub trawce, odpowiednio ujętej w palce, albo na wabiku fabrycznym.

Najlepsze wabiki fabryczne to: kościany w kształcie gwizdawki „Hubertus“ albo też podobny do czarnej lewatywy gumowy Bufalo. Drewniane wabiki wydają głos zbyt suchy, nienaturalny, toteż odradzam ich używania.

Wabić należy po uregulowaniu głosu śrubką lub metalowym regulatorem w sposób następujący. Wydajemy cztery krótkie, jakby ucięte nożem piśnięcia

pi - pi - pi - pi

w odstępach mniej więcej 1,5 sekundy, po czym po odczekaniu 5—15 sekund powtarzamy po raz drugi trzykrotne:

pi - pi - pi.

Po odczekaniu znów 5 — 15 sekundowej przerwy piszczymy po raz trzeci, powtarzając czterokrotnie

pi - pi - pi - pi

Po zakończeniu takiej serii, stanowiącej pewną zamkniętą część, czekamy i o ile nie usłyszymy tupotu nadchodzącej sztuki po minucie, powtarzamy podobną całą serię po raz drugi.

Jeżeli rogacz jeszcze się nie zjawi, to po upływie 2—3 minut powtarzamy serię po raz trzeci.

Jeżeli w ciągu 2—3 minut po tym trzecim odezwaniu się rogacz nie zjawi się, należy zmienić miejsce wabienia. Wabiąc, można dowolnie zmieniać w każdej serii ilość piśnięć od 3 do 6.

Trzeba w tym miejscu zaznaczyć, że polowanie na wabika jest dziwnie kapryśnym polowaniem. Czasem rogacze idą na wab po paru sekundach jak opętane, czasem krążą wokół, nie chcąc podejść na strzał, a czasem znów nie reagują na wab zupełnie. Zauważyłem również, że pogoda nie ma specjalnego wpływu na rezultat wabienia. W pogodne ranki rogacze iść nie chcą, a w mokry deszczowy dzień idą świetnie i na odwrót.

Wabić można w okresie od 20 lipca do 20 sierpnia. Niemniej najlepszym okresem na wabienie jest 1—10 sierpnia w zachodniej części Polski, 5—15 sierpnia na wschodzie kraju.

Rzucę tu jeszcze następujące uwagi. Wabienie udaje się dobrze w tych łowiskach, gdzie stosunek rogaczy do kóz nie przekracza 1 : 3. W łowiskach o większej procentowo ilości kóz, rogacze tak są rują zmęczone, że na wab reagują słabiej.

Wabiąc, należy często zmieniać miejsce, bowiem dalej jak na 150 kroków wabu nie słychać i niedoświadczonemu myśliwemu rogacz dlatego tylko nie przychodzi na wab, że głos po prostu do niego nie dochodzi.

Wabić należy niezbyt głośno, w żadnym wypadku nie dmuchając ile tchu starczy, czy naciskając wabik całą siłą ręki, gdyż na głos nienaturalny, gwiżdżący, rogacz nigdy nie przyjdzie. Wabić zbyt często i długo też nie warto. Po trzech seriach kategorycznie należy dać spokój i przenieść się w inne miejsce.

Rogacza, którego wabiąc widzimy, a nie chce on przyjść, należy pozostawić w spokoju, gdyż obok w trawach leży prawdopodobnie niewidoczna dla oka łowcy koza, od której zakochany kozioł na krok nie odejdzie.

Odstrzał hodowlany w czasie wabu jest bardzo trudny i wymaga wielkiej znajomości przedmiotu. Rogacz bowiem pokazuje się myśliwemu na krótką tylko chwilę, często wyskakuje wprost na myśliwego i zaraz ucieka, często wysuwa się cichaczem z lasu, pilnie bacząc i na najdrobniejszy ruch ręki, chwytającej za lornetkę czy sztucer, reaguje ucieczką.

Z tego też względu miejsce na wab należy wybierać w rzadszych drągowinach, bądź partiach starodrzewiu nad brzegami zagajów i podszytych gęstych olszyn, gdyż tylko myśliwy sam, będąc ukryty, wypatrzy i oceni właściwie nadchodzącego na wab rogacza.

Na wab często przychodzi też sama koza. Nie należy jednak zapominać, że z tyłu za siutą nadciąga nie rzadko rogacz. Rogacz taki to przeważnie sarnik w sile wieku, przyszłościowy, lepiej więc go oszczędzać.

Według moich obserwacji, najczęściej nadchodzące samotnie na wab rogacze, to albo młode koziołki, szukające przygód, w których nie jeden może być odstrzałowym słabeuszem, albo też stare wstecznıki, odbite od kóz przez sztuki kapitalne.

Z tego też względu na wab często udaje się strzelić naprawdę ciekawego myłkusa, bądź prawdziwie selekcyjnego rogacza.

Należy pamiętać, że w razie spłoszenia sztuki, która szła na wab, może myśliwy obejść zagaj czy gąszcz, do którego rogacz się cofnął i wabić znów z przeciwnej strony z powodzeniem.

Ponieważ rogacz na wab przychodzi z kierunku zupełnie nieoczekiwanego, wskazane jest zatem polować z odpowiednio wybranym gajowym czy innym pomocnikiem.

Zaznaczam na zakończenie, że nauczyć się wabić teoretycznie jest rzeczą niemożliwą. Jedyny sposób, to albo powtarzanie na wabiku głosu siuty, która znajduje się w zagrodzeniu, albo też żmudna nauka od towarzysza łowów, który posiada sztukę posługiwania się „mikotem“.

INŻ. JULIAN BOHUSZ

Koło łowieckie

NIEWĄTPLIWIE spodziewać się należy, że nowa ustawa łowiecka przyniesie ze sobą dla Polskiego Związku Łowieckiego nowe zadania i nowe formy organizacyjne. Sporo już na ten temat pisano i niemało wymieniono poglądów. Formułowane były na łamach Łowca Polskiego postulaty zarówno co do przyszłej roli Związku, jak i tych form organizacyjnych. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że jedną z naczelnych zasad reorganizacji naszego Związku musi być zacieśnienie więzi jego ogniw organizacyjnych, pogłębienie dyscypliny wewnętrznej i wykrystalizowanie form zależności (organizacyjnej) w pionie strukturalnym Związku.

Dziś chciałbym zastanowić się nieco nad rolą kółka łowieckiego i jego stosunkiem do Związku, takich, jakimi one są dzisiaj i jakimi będą w przyszłości. Chciałbym zagadnienie to rozpatrywać na węższym odcinku li tylko zadań hodowlano-łowieckich, zarówno kółka, jak i Związku.

Prawnie kółko łowieckie jest stowarzyszeniem członków PZŁ, istniejącym i działającym na zasadzie statutu zatwierdzonego przez władze administracyjne i zarejestrowanego zgodnie z wymogami przepisów o stowarzyszeniach.

Zależność organizacyjna kółka łowieckiego od Związku jest oparta na niejednakowych zasadach formalnych. Jeśli kółko łowieckie jest członkiem Związku, jako osoba prawna, jest ono podporządkowane rygorom organizacyjnym na równi ze wszystkimi członkami Związku. Jeśli ewentualność taka nie zachodzi, wpływ organizacyjny Związku na działalność kółka jest tylko pośredni poprzez fakt, że wszyscy członkowie kółka są członkami Polskiego Związku Łowieckiego i, jako tacy, podporządkowują się dyscyplinie organizacyjnej.

Czy tak, jak jest jest dobrze i czy mogło by być lepiej?

Odpowiedź na to pytanie można sformułować dopiero po uświadomieniu sobie, czym jest, co robi i co powinno robić kółko łowieckie.

Czym jest — to wszyscy mniej więcej wiemy. Według definicji prawnej jest to stowarzyszenie osób dla wspólnego wykonywania polowania.

Co przeciętne kółko robi — też wiemy. Na ogół mniej lub więcej prawidłowo wykorzystuje na swoich terenach łowieckich prawo polowania, gorzej lub lepiej, ale przeważnie gorzej prowadzi gospodarkę hodowlano - łowiecką, bardzo często łudzi się tylko, że ją prowadzi, marnując bezużytecznie pieniądze i wreszcie podtrzymuje w większym lub mniejszym stopniu kontakt towarzyski między swymi członkami. Ten kontakt towarzyski bywa również bardzo różny i przejawia się w różnych formach o różnej wartości społecznej i organizacyjnej tych form, jeśli wziąć pod uwagę, że mogą to być zarówno wspólne uczty, czy bridge koleżeński, jak i zebrania dyskusyjne, wzajemna wymiana poglądów i doświadczeń, pogłębianie wiedzy łowieckiej.

Nie o to jednakże w tej chwili chodzi. W tej chwili chciałbym uwypuklić fakt, że kółko łowieckie stanowi organizację o swoistym charakterze, jednocząc w swoim programie działania cele gospodarcze, jakimi w gruncie rzeczy będzie użytkowanie polowania i gospodarowanie w łowisku, oraz cele towarzyskie, jak różne formy wzajemnego obcowania członków kółka i wspólnego doznawania przyjemności uprawiania polowania.

I ten właśnie ostatni wzgląd na istotne bardzo cele towarzyskie zrzeszania się myśliwych w kółko łowieckie zdaje się przesądzać o konieczności zachowania w każdym wypadku swobody wzajemnego doboru personalnego w składzie członków kółka.

Powróćmy jednakże do strony gospodarczej działalności kółka, do jego gospodarki w obwodzie łowieckim.

Tak, jak jest w tej chwili, kółko w swoich poczynaniach hodowlanych jest najzupełniej autonomiczne, nie jest przez nikogo instruowane, ani kotrolowane. Obecna ustawa łowiecka zajmuje się jedynie stroną wykonywania polowania, a jej stosunek do spraw hodowli zwierzyny jest najzupełniej obojętny. Ustawę można nazwać raczej zbiorem zakazów, a nie nakazów w dziedzinie łowiectwa.

Kółko łowieckie robi więc dziś, co mu się podoba, a bardzo często nic nie robi, bo tak mu się właśnie podoba.

Nie łudźmy się i powiedzmy sobie, że poziom gospodarki hodowlanej u nas jest dziś bardzo niski. Że to, co się robi, robi się często bezplanowo, połowicznie, niejako dla uspokojenia sumienia łowieckiego, a nie ze świadomością celu gospodarczego.

A poziom etyki łowieckiej w środowisku bardzo wielu kółek?

Znamy kółka łowieckie opolowujące ten sam teren z niedzieli na niedzielę.

Znamy członków Polskiego Związku Łowieckiego, w środowisku kolegów myśliwych, którzy uprawiają notorycznie polowanie na pomyka i to z minimalnym poszanowaniem granic cudzego obwodu łowieckiego.

Znamy kółka łowieckie, które stosują swoistą technikę polowania w kotły, uważając za rzecz najzupełniej właściwą i wysoce w skutkach owocną wypuszczania z sygnałem „naganka do środka" kilka ochoczych piesków, dla tym pewniejszego ruszenia wszystkiego co jeszcze w tym kotle żyje i do ostatka twardo prywarowuje.

To są fakty wzięte z życia codziennego.

Takie i tym podobne historie można usłyszeć na każdej rozprawie Sądu Łowieckiego.

Tak wygląda etyka i uświadomienie wielu naszych myśliwych.

Jest źle — temu zaprzeczyć nie można.

Należy dążyć pełnią wysiłku i wszystkimi sposobami do naprawy stosunków. Należy podnieść poziom naszej gospodarki łowieckiej i podnieść poziom etyki łowieckiej szerokich rzesz myśliwych.

Jest to doniosłe zadanie Polskiego Związku Łowieskiego i to powinno być ważnym punktem programu działania organizacji.

Miejmy nadzieję, że nowa ustawa łowiecka da pełnię warunków dla osiągnięcia tego programowego celu.

Co to znaczy — zaplanowanie gospodarki łowieckiej? Na to pytanie już kiedyś na łamach Łowca Polskiego usiłowałem odpowiedzieć.

Znaczy to — uświadomienie sobie co, gdzie i jakimi środkami będziemy robili i do jakiego celu nasze poczynania hodowlane będą zdążały.

Taki plan działania Polski Związek Łowiecki musi przed sobą nakreślić, musi wejść z nim do ogólnego planu gospodarczego Państwa i musi dać go nam do wykonania.

A kto będzie bezpośrednim wykonawcą generalnego planu polskiego łowiectwa i od kogo będzie zależał wynik jego realizacji?

Będą nim właśnie kółka łowieckie, jako gospodarze terenów łowieckich i ich użytkownicy.

Dlatego przyszłość łowiectwa polskiego i jego gospodarcze wyniki będą całkowicie zależne od postawy, świadomości rzeczy i dojrzałości organizacyjnej kółek łowieckich.

Planowanie w szerokiej skali wymaga nieuchronnie podporządkowania jego ogniw wykonawczych kierownictwu hierarchicznie wyższemu, a w konsekwencji ostatecznej kierownictwu najwyższego ośrodka dyspozycyjnego u źródła centralnego planowania. Stąd prosty wniosek — konieczność bezpośredniego podporządkowania kółek łowieckich Polskiemu Związkowi Łowieckiemu, podporządkowania w formie znacznie ściślejszej, bardziej skonkretyzowanej i określonej rygorami organizacyjnymi, niż to było dotychczas.

Najprostszym i najbardziej bezpośrednim rozwiązaniem sprawy byłoby tu przekształcenie kółka łowieckiego w najniższą jednostkę organizacyjną Związku ze wszystkimi atrybutami i obowiązkami takiej jednostki. Gdy więc w tej chwili organizacja Polskiego Związku Łowieckiego kończy się oddolnie na Powiatowej Radzie Łowieckiej i powiatowej organizacji myśliwych, to zgodnie z tą myślą należało by pójść dalej w dół, powiedzieć, że organizacja powiatowa rozpada się dalej na koła Polskiego Związku Łowieckiego, że najniższą organizacyjnie jednostką związkową jest zarząd kółka łowieckiego.

W ten sposób można by zadośćuczynić najpełniej postulatowi podporządkowania gospodarki i całej działalności kółek łowieckich kierownictwu władz Polskiego Związku Łowieckiego.

Takie jednakowoż najprostsze rozwiązanie sprawy natrafia na bardzo duże trudności przede wszystkim z uwagi na fakt, że kółko łowieckie, jak to już podkreśliłem wyżej, jest organizacją o dwoistym charakterze, posiadającą dwojakie cele istnienia — gospodarcze i towarzyskie.

Kreowanie kółka łowieckiego, jako normalnej komórki organizacyjnej Związku, musiałoby związać to kółko i jego siedzibę z określonym terenem — z użytkowanym przez nie obwodem łowieckim. Musiałoby dalej przesądzić o składzie osobowym kółka, które musiałoby z natury rzeczy zrzeszać przymusowo myśliwych zamieszkałych wokoło siedziby kółka. Pozostawiałoby nierozwiązaną kwestię przynależności dużych skupień myśliwych w większych miastach, dla których brakłoby w bezpośrednim otoczeniu miasta terenów łowieckich. Przekreślałoby zasadę swobodnego doboru osobowego członków kółek. Wreszcie przywiązywałoby myśliwego i kółko łowieckie do jednego tylko rejonu łowieckiego, odbierając mu cały urok polowania w różnych łowiskach i warunkach, urok krajoznawczej włóczęgi, redukując mu niesłusznie bogactwo przeżyć i wrażeń łowieckich.

Obok tych trudności, które nie są bynajmniej jedynymi, wysuwają się trudności natury gospodarczej i prawnej. Dziś kółko łowieckie, posiadając osobowość prawną, gospodaruje na własnym terenie na ryzyko i odpowiedzialność własną, posiada własny majątek i własne fundusze obrotowe.

Z chwilą, gdyby kółko swą osobowość prawną postradało, stając się ogniwem organizacji związkowej, musiałoby gospodarować w imieniu i na rachunek Związku, a Związek musiałby tę gospodarkę firmować i ponosić za nią odpowiedzialność materialną. W takim stanie rzeczy zaistniałaby konieczność rozbudowania aparatu kontroli ze strony władz hierachicznie wyższych, kontroli finansowej i rachunkowej, co obciążyłoby niesłychanie koszty administracyjne Związku.

Z tych więc czy tamtych powodów koncepcja kreowania kółka łowieckiego jako najniższej komórki organizacyjnej Związku w pełnym tego słowa rozumieniu wydaje się koncepcją nie do przyjęcia.

Należy szukać innego rozwiązania sprawy.

Rozwiązanie to widzę w takiej formie organizacyjnej, która, uzależniając kółko łowieckie w pełni od Polskiego Związku Łowieckiego w zakresie jego działalności, pozostawiałaby kółku swobodę ustalania swego składu osobowego, wyboru siedziby terenów łowieckich i gospodarowania na tych terenach w oparciu o własne fundusze na rachunek i ryzyko własne.

Rzecz oczywista Związek miałby odpowiednio zagwarantowane prawo ustalania zasad organizacji kółek łowieckich, regulaminów działania, prawo jak najdalej idącego wglądu i ingerencji w ich działalność aż do prawa rozwiązania kółka włącznie.

Tak ujęta koncepcja od strony merytorycznej wymagałaby sformułowania prawniczego przy uwzględnieniu ogólnych przepisów prawa. Nad tym zagadnieniem warto by się zastanowić, bo każda uwaga czy oryginalny pomysł winny mieć dużą wartość dla władz Polskiego Związku Łowieckiego, które zagadnienie to muszą przepracować.

BRONISŁAW ŻEBROWSKI

Mandżuria — kraj łowów



Z polowań na jelenie

fot. B. Żebrowski

SŁONECZNA Mandżuria jest jednym z najbogatszych krajów pod względem możliwości łowieckich.

Olbrzymi ten kraj z różnorodną szatą roślinną, posiadający bogatą faunę, jest wymarzonym terenem dla myśliwskich wycieczek i większych wypraw. Łowy w górach i dziewiczych puszczach, polowanie na rozległych stepach, nad jeziorami i wzdłuż potężnych rzek — oto polowania mandżurskie.

Żeby dostać się do tych terenów dziewiczych, których prawie nie dotknęła ręka cywilizacji, nie trzeba tak, jak to się robi w Afryce, lub innych krajach podzwrotnikowych, organizować długich i kosztownych wypraw w poszukiwaniu zwierzyny łownej w ciężkim dla Europejczyka klimacie. Wystarczy odjechać w bok od pierwszej lepszej stacji kolejowej 30 — 40 km, aby znaleźć się w sercu pierwotnej puszczy. Kolej Wschodnio - chińska, przecinającą Mandżurię z północnego zachodu na południowy wschód, posiada liczne odnogi, łączące główną linię z koncesjami leśnymi i umożliwia myśliwym amatorom i zawodowym docieranie bez wielkiego trudu i zmęczenia do najbardziej obfitujących w zwierzynę miejsc w tajdze górzystej i stepach.

Polować na tych terenach można prawie przez cały rok.

Przyroda Mandżurii jest ciekawą mieszaniną flory i fauny południa i północy. Tłumaczy się to tym prawdopodobnie, że kraj ten ominęły lodowce i w ten sposób roślinność tropikalna zachowała się, ulegając z biegiem czasu zmianom pod wpływem klimatu i mieszając się z roślinnością strefy północnej.

Pod względem zoograficznym podzielić można całą Mandżurię na trzy różne części: północną, zachodnią i południowo - wschodnią.

Część północna, ograniczona przez rzeki Amur, Arguń, Sungari, Nonni i Gan, jest zbliżona do fauny Syberii Wschodniej.

W dziewiczych puszczach modrzewiowych i sosnowych występują łosie, jelenie, sarny, niedźwiedzie, rysie, rosomaki, lisy, kunopsy, dziki, borsuki, wilki, głuszcze, cietrzewie, jarząbki, pardwy, a nawet czarne zające.

Na zachodzie ta połać kraju przecięta jest łańcuchem górskim Chinganu, który zniżając się stopniowo, przechodzi na południu w pagórkowatą wyżynę mongolską. Na wyżynie tej, przypominającej do pewnego stopnia prerie amerykańskie, spotykamy dżejrany (antylopy mongolskie), których liczne stada dochodzą do kilkuset sztuk, tarbagany (świstaki), susły, dropie, wilki, a latem miliony ptactwa błotnego i wodnego lęgnie się na jeziorach Dałaj - Nor, Giesik i innych.

Na południowym wschodzie między rzekami Sungari, Amurem, Ussuri, Morzem Japońskim, rzeką Tymun oraz łańcuchem górskim Tien-Bao-Szan leży inny teren, którego fauna i flora zbliżona jest do przyrody Kraju Ussuryjskiego i Korei. Kraj ten, przeważnie górzysty z szerokimi dolinami, po których biegną poważne rzeki i wesołe przezroczyste i niezliczone rzeczki i strumienie, pokryty jest lasami ciągnącymi się setki kilometrów. Jest to jedyny w swoim rodzaju kraj, w którym licznie reprezentowana roślinność północy, jak cedry, jodły, brzozy w połączeniu z lianami, dzikim winogradem i chmielem, sprawia wrażenie puszczy podzwrotnikowej; rosną tu: palma aralia, orzech grecki, drzewo korkowe, mandżurski jesion, drzewo aksamitne, limonnik, którego jagody dają siłę myśliwemu i wzmacniają chorego, a wszystko to podszyte



Po wyprawie na gęsi

fot. B. Żebrowski

JÓZEF GIEYSZTOR

Ankieta Łowca Polskiego

II

W podjętej przez Komitet Redakcyjny Łowca Polskiego Ankiecie, mającej na celu poznanie opinii Czytelników i życzeń ich w stosunku do treści, układu i szaty zewnętrznej naszego pisma, umieszczone było pytanie: „Na jakie usterki w organizacji terenowej należy zwrócić baczniejszą uwagę?"

Na pytanie to otrzymano od Czytelników szereg wypowiedzi, które nie tylko skonkretyzowały zarzuty w stosunku do działalności naszych placówek w terenie, ale podały i sposoby poprawy istniejącego stanu rzeczy. Z uwagi, że sprawa w tym ujęciu nabrała cech, odbiegających od bezpośrednich zadań Komitetu Redakcyjnego, postanowiono przedłożyć wnioski, które można było wysnuć z nadesłanych przez uczestników Ankiety wypowiedzi, Komitetowi Wykonawczemu PZŁ jako władzy zwierzchniej w zakresie organizacji terenowej Związku. Ze swej strony Komitet Redakcyjny ograniczył się do podania przy każdym wniosku Ankiety krótkich uwag merytorycznych.

Uznając, że autorom odpowiedzi na kwestionariusz Ankiety należy się zdanie sprawy z wyników tej akcji, podajemy poniżej materiał Ankiety w postaci przedłożonej Komitetowi Wykonawczemu, zgrupowany według poszczególnych tematów, wraz z uwagami Komitetu Redakcyjnego.

I. Łowczowie powiatowi

Działalność łowczych powiatowych wywołuje narzekania na małą ich aktywność i niedostateczne przygotowanie. Usprawnienie działalności łowczych powiatowych, kompletowanych dziś głównie z pomiędzy pracowników administracji lasów państwowych, a więc obciążonych pracą zawodową, może być osiągnięte przez materialne zainteresowanie ich w pracy na rzecz PZŁ, równoważące poświęcenie dla ich wykonania czasu, przeznaczonego na odpoczynek czy rozrywkę. Pewne podniesienie składki członkowskiej mogłoby dać kwotę wystarczającą na wynagrodzenie kilkuset łowczych. Wprowadzenie takiego stałego uposażenia powinno z gruntu zmienić stosunek łowczego PZŁ do jego obowiązków, które staną się właśnie obowiązkiem, a nie czynnością honorową.

Uwaga Komitetu Redakcyjnego.

Z uwagi na okoliczność, że składka członkowska na rok 1950 jest ustalona w wysokości 2000 zł, podniesienie jej, dla stworzenia funduszu na dotacje dla łowczych powiatowych, jest w chwili obecnej niemożliwe. Ponieważ jednak wprowadzenie nowego prawa łowieckiego i statutu PZŁ, jak również utworzenie funduszu na cele łowieckie, może ten stan rzeczy zmienić, postanowiono wniosek ten przedstawić Komitetowi Wykonawczemu bez jakichkolwiek sugestii.

Mandżuria — kraj łowów

(Dokończenie)

jest krzakami różanecznika (rododendrona). Tam rośnie też tajemniczy a cudowny dla swojej własności leczniczej żeń-szeń. Puszczę tę nazywa ludność chińska Szu-chaj, czyli leśne morze.

Morze to pochłonęło i pochłania setki ofiar, ale są to ofiary na ołtarzu przywiązania do swobody i piękna przyrody. Nie na próżno mówią tubylcy „idziesz do puszczy — zostaw testament".

Bo też podobna do morza jest ta zielona puszcza, szumiąca tajemniczo i kryjąca w swoich głębinach dużo tragedii ludzkich i zwierzęcych.

Jest to raj dla myśliwego, kraj wielkich łowów i wielkiej przygody.

Mieszka tu tygrys, bars, leopard, ryś, niedźwiedź himalajski, rosomak, kunopies i borsuk, jeleń zwykły i plamisty, sarna i antylopa piżmowa (kabarga), baran górski, dzik i wilk czerwony, sobol i kuna, wiewiórka zwykła i wiewiórka latająca (letiaga).

Tu jest ojczyzna wspaniałych bażantów mandżurskich, które w niezliczonej ilości gnieżdżą się wzdłuż dopływów i w dolinach rzek Sungari, Mu-da-dzian i Muren. Obok bażanta mieszkają jego skromni „krewni" — jarząbek i cietrzew.

Mandżuria leży na szlaku ptactwa wędrownego, które szczególnie wiosną leci z południa na północ w dzień i w nocy niezliczonymi stadami i wtedy krzyk żurawi, gęganie dzikich gęsi i świst kaczych skrzydeł nie dają spać myśliwemu i wywołują tęsknotę tylko dla myśliwego zrozumiałą.

Mandżuria jest krajem, w którym zetknęły się i skrzyżowały fauna wyżyn stepowych środkowej Azji, tajg syberyjskich oraz fauna zielonych wysp japońskich i gorących pobrzeży Indo-Chin.

Polowanie w Mandżurii jest sportem dla Europejczyków, a dla tubylców, plemion tunguskich, mieszkających na północy i na północnym zachodzie, oraz dla późniejszych przybyszów Chińczyków i Koreańczyków — łowy stanowią często źródło bytu. Ludzie ci zżyli się z puszczą, znają ją jak nikt i tworzą z nią nierozdzielną całość.

Dla nas są to niezmiernie ciekawe tematy, pełne romantyki i egzotyki.

Dodać należy, że Mandżuria jest krajem słonecznym, gdyż 320 dni w roku świeci słońce, to źródło życia.

W szeregu szkiców następnych postaram się podać do wiadomości trochę przygód myśliwskich oraz tryb życia i zwyczaje mandżurskich myśliwych.

Ankieta Łowca Polskiego

II. Podłowczowie.

Duży zastęp łowczych objął swe stanowisko bez należytego przygotowania, które osiągnąć może dopiero w toku pracy w terenie. W tych warunkach należy właśnie podłowczych uważać zarówno za pomocników łowczych powiatowych na mniejszym terenowo obszarze, jak i za kadry, z których rekrutować się mają nowi łowczowie. Aby kadry te możliwie zwiększyć, a równocześnie pracę rozłożyć równomiernie, należy dążyć, aby podłowczowie byli powoływani w każdej gminie.

Uwaga Komitetu Redakcyjnego.

Realizowanie postulatu posiadania podłowczych w każdej gminie jest w toku.

III. Koła łowieckie

Aby łowiectwo stanęło w kraju na poziomie właściwym, musi ono być realizowane przez zrzeszenia myśliwych, łączące zadania ideowe z celami praktycznymi. W układzie dzisiejszym nie powinno być miejsca dla indywidualnych nemrodów. Dlatego też musi być wydane zarządzenie, obowiązujące wszystkich bez wyjątku myśliwych, do należenia do zarejestrowanego formalnie koła łowieckiego. Bez dopełnienia tego warunku członek Związku nie może otrzymać karty łowieckiej, ani pozwolenia na posiadanie broni. Dla ujęcia jednak wszystkich myśliwych w kadry zorganizowanych kół łowieckich, sieć ich powinna obejmować cały obszar Państwa, a powstanie kół powinno spotykać jak najdalej idącą pomoc i zachętę ze strony władz administracji ogólnej, zainteresowanej w istnieniu i prawidłowym funkcjonowaniu samorządu łowieckiego. Obowiązkiem bowiem podstawowym kół łowieckich jest ścisłe współdziałanie z organami terenowymi władz administracyjnych, Ministerstwa Leśnictwa, MO i UB, gdyż tylko pod tym warunkiem możliwą będzie racjonalna hodowla zwierzyny, skuteczna walka z kłusownictwem i wnykarstwem, przeciwdziałanie pladze włóczących się samopas psów, wybieraniu jaj i niszczeniu gniazd przez pastuchów i dzieci.

Takiż obowiązek współpracy ciąży na kołach łowieckich w stosunku do organów terenowych Polskiego Związku Łowieckiego. Jest to konieczne dla koordynowania czynności kół z wytycznymi władz centralnych Związku, jak również do niesienia władzom terenowym pomocy w wykonywaniu zleceń Rady Naczelnej w zakresie czy to form polowania, czy zbioru danych statystycznych lub informacyjnych. Praktycznie dało by się to najlepiej zrealizować przez mianowanie łowczych kół łowieckich podłowczymi PZŁ.

Wreszcie ze wszech miar godnym polecenia jest nawiązanie współżycia kół łowieckich pomiędzy sobą dla ustalenia we wspólnym porozumieniu terminarza polowań zbiorowych, organizowania obław na dziki w razie potrzeby ich redukcji, urządzenia wspólnych imprez, zebrań, czy zabaw, dzielenia się spostrzeżeniami i informacjami.

Uwaga Komitetu Redakcyjnego.

Uznając słuszność zarzutów stawianych dotychczasowej działalności kół związkowych, zbyt luźno związanych z organizacją terenową Związku, Komitet Redakcyjny jest zdania, że radykalna poprawa może nastąpić jedynie wówczas, gdy w myśl ideowych założeń nowego prawa łowieckiego, koła łowieckie będą statutowo uznane za najniższą komórkę PZŁ i jako takie staną się jego organem wykonawczym.

IV. Podział na obwody łowieckie i ich dzierżawa.

Nowa ustawa łowiecka powinna sprawę podziału całego obszaru kraju na obwody łowieckie załatwić radykalnie. Zanim to jednak nastąpi, należy spowodować wprowadzenie możliwie ułatwionego i uproszczonego trybu wydzierżawiania obwodów już istniejących. W myśl zasady wyżej przytoczonej, wydzierżawienie to powinno być dostępne tylko kołom łowieckim, nie indywidualnym reflektantom. Rygorystyczne przeprowadzenie tej zasady powinno przełamać dziś ujawnioną niechęć gmin i gromad do wydzierżawiania swych terenów.

Uwaga Komitetu Redakcyjnego.

Zagadnienie podziału na obwody łowieckie i ich dzierżawy załatwia radykalnie nowa ustawa łowiecka, wprowadzając przymus tworzenia obwodów na obszarze całego Państwa.

V. Walka z kłusownictwem i wnykarstwem

Obowiązek prowadzenia walki tej ciąży na każdym członku PZŁ oraz na wszystkich zrzeszeniach łowieckich i organach Związku. Aby skuteczność tej walki zwiększyć, powinny koła łowieckie przyjąć za obowiązek, nie podlegający uchyleniu, utrzymania straży łowieckiej w stosunku przynajmniej jednego zaprzysiężonego strażnika na każde 2 tys. ha dzierżawionego obszaru, strażnika obowiązanego do regularnych obchodów swej parceli, do składania systematycznych raportów i prowadzenia wywiadów w sąsiednich wsiach czy miasteczkach. Za wykrycie winnych przestępstwa i umożliwienie wszczęcia przeciw nim dochodzenia, powinny być ustalone nagrody pieniężne. Równocześnie winien być nawiązany i stale podtrzymywany kontakt z czynnikami administracji ogólnej, od sołtysa i wójta począwszy, przez organy MO i UB aż do starosty, dla zapewnienia pomocy w ściganiu przestępstw łowieckich i zapobieżeniu umorzenia wszczętych spraw. Walkę z nielegalnym polowaniem jednostek urzędowych prowadzić należy przez możliwie dokładne ustalenie winnych, sprecyzowanie warunków w jakich przestępstwo miało miejsce i składanie o tym formalnych doniesień do ich władz przełożonych. Aby efekt takich doniesień, podobnie jak wszczynanie spraw sądowych, był właściwy, dążyć należy do

podwyższenia kar za kłusownictwo i wnykarstwo i do ścisłego stosowania ich przez sądy.

Uwaga Komitetu Redakcyjnego.

Warunkiem skutecznego zwalczania kłusownictwa i wnykarstwa jest posiadanie przez każdego właściciela czy dzierżawcę obwodu łowieckiego — straży łowieckiej. Wobec dużych kosztów z tym związanych, zwrócono uwagę na możność powierzenia funkcji strażnika — gajowym lasów państwowych, za niewielką dopłatą, ale za bardziej celowe uznano wynajmowanie straży nie za opłatą ryczałtową (stałe uposażenie), ale za opłatą od każdej sztuki ubitej na jego terenie zwierzyny, np. 25 zł. od zająca. Wydatek taki obciąża w tych wypadkach nie właściciela czy dzierżawcę łowiska, ale myśliwego, który zwierzynę zdobył.

VI. Plaga włóczących się samopas psów i kotów oraz pastuszków niszczących gniazda i pisklęta i zbierających jaja.

Tu sprawę może skierować na właściwe tory jedynie powszechne zarządzenie władz starościńskich, nakazujące trzymanie psów na wsi na uwięzi lub w zagrodach, oraz zabraniające brania psów ze sobą w pole lub na pastwisko inaczej jak na smyczy. Dla zapędzenia rozpierzchłego stada, lub wypędzenia ze szkody, wystarczy bowiem czasowo spuszczenie psa ze smyczy. Wykonaniu takiego zarządzenia sprzyjać może nakaz strzelania do każdego psa spotkanego w polu czy w lesie nie uwiązanego, a przynajmniej nie noszącego obroży. Także zarządzenie władz administracyjnych, starościńskich i gminnych powinno obowiązywać sołtysów i wójtów co do nadzoru nad pastuchami i karania za niszczenie gniazd i wybieranie jaj.

Uwaga Komitetu Redakcyjnego.

W tej dziedzinie pomocne może być głównie współdziałanie władz administracyjnych, w postaci wydania odpowiednich zarządzeń przez starostwa do wójtów i sołtysów. Pożądane było by również zainteresowanie się Związku Kynologicznego poparciem hodowli i szkolenia psów pasterskich, nie posiadających instynktu łowieckiego.

VII. Egzaminy łowieckie.

Wobec zarzutów na niepoważny charakter, jaki w wielu wypadkach nabiera egzaminowanie kandydatów na członków PZŁ, proponuje się wyznaczenie komisji egzaminacyjnej złożonej z osób, nie należących do zespołu myśliwych danego powiatu. Rozwiązanie to nasuwa jeden tylko szkopuł, mianowicie zwrot kosztów podróży takiej komisji. Ale może da się to załatwić w drodze opłat za egzaminy.

Uwaga Komitetu Redakcyjnego.

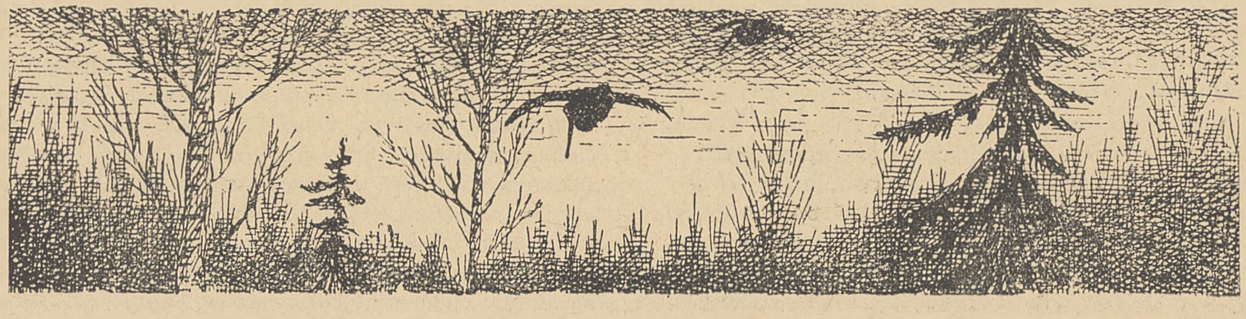
Wyznaczenie egzaminatorów z pomiędzy myśliwych z innych powiatów jest już praktykowane w niektórych województwach, ale nie może mieć szerszego zastosowania z uwagi na dużą stratę czasu na wyjazdy. Przy tej sposobności zwrócono uwagę na konieczość rewizji instrukcji w sprawie egzaminów, podniesienia skali wymagań i szczegółowego ich sformułowania, wreszcie wykazania źródeł naukowych. W związku z tym wysunięto postulat wydania osobnego podręcznika dla egzaminowanych.

VIII. Inspektorzy łowieccy.

Zarządzenia władz centralnych, przekazywane do wykonania w terenie przez rady wojewódzkie, pozostają często zarządzeniami papierowymi. Dla nadania im barwy życia jest konieczne sprawdzenie na miejscu zakresu i sposobu ich wykonywania, czasami stwierdzenie nieżyciowości danego przepisu i potrzeby zmiany. Tym właśnie kierowało się Walne Zgromadzenie członków PZŁ, wprowadzając do Komitetu Wykonawczego stanowisko inspektora, z zadaniem systematycznych wyjazdów kontrolnych do rad wojewódzkich. W miarę rozszerzania zakresu działania Związku, staje się ze wszech miar pożądane wprowadzenie podobnych inspektorów w każdej radzie wojewódzkiej. Ponieważ sama zasada nie powinna być kwetionowana, pozostaje jedynie sprawa nominacji takich inspektorów, która powinna być rozwiązana przez rady wojewódzkie, oraz zwrotu kosztów związanych z ich wyjazdami i przebywaniem w terenie.

Uwaga Komitetu Redakcyjnego.

Utworzenie we wszystkich radach wojewódzkich inspektorów łowiectwa uznać należy za rzecz ze wszech miar wskazaną. Środki na ich uposażenie powinny być przewidziane w budżetach rad wojewódzkich, od których też zależy wyszukanie odpowiednio przygotowanych kandydatów.



JAN TACZANOWSKI

Polowanie na słonki

DO najmilszych polowań zaliczam polowanie na słonki, zwłaszcza na ciągu wiosennym. Od najmłodszych już lat dane mi było polować na tego tajemniczego ptaka, który odbywa swe przeloty tylko po zachodzie słońca lub z pierwszym brzaskiem poranka. Czyż nie piękne są te wiosenne wieczory spędzone w lesie, gdy natura dopiero się budzi, a pierwsze kosy śpiewem swym las ożywiają? Gdy świergot ptaków cichnie powoli, a pierwsza gwiazdka błyśnie na niebie, nagle zelektryzuje myśliwego charakterystyczny gwizd lub chrapnięcie słonki. Odczuwam wtedy takie same uderzenia serca, jak przy podchodzeniu grubszego zwierza.

Miałem kiedyś wiernego psa myśliwskiego, który leżąc przy moim stanowisku, gdy tylko słonkę posłyszał, zrywał się i drżąc cały, patrzał w daną stronę. Pomagało mi to nieraz w zorientowaniu się, z której strony słonka nadciąga, gdyż samemu trudno jest czasem ustalić kierunek. W ogóle wyżeł przy tym polowaniu jest konieczny, strzela się bowiem o zmroku, łatwo więc w tych warunkach o zgubienie zdobyczy w zaroślach. Miewałem co prawda psy, które słonki niechętnie aportowały i nie bardzo sobie zdawały sprawę na czym polegało polowanie.

Polowałem przeważnie w łowisku wielkopolskim, gdzie nie ma takich ciągów, jak na kresach wschodnich, toteż zabicie trzech słonek jednego wieczoru było już dobrym rezultatem. Często wracałem bez zdobyczy lub z jedną słonką, lecz nigdy nie żałowałem tych miłych chwil spędzonych w lesie i spieszyłem do niego chętnie, mimo kilkukilometrowej odległości. Polowanie to czarowało nie tylko mnie, myśliwego, bowiem z ochotą towarzyszyła mi nieraz któraś z sióstr, miła kuzynka, później żona, a wreszcie i dzieci. Wszyscy wracaliśmy po udanym ciągu pod wrażeniem pięknie spędzonego wieczoru.

Raz zdarzyło mi się, że chybiwszy pierwszym strzałem dwie goniące się słonki, drugim strąciłem obydwie. Innym razem, gdy zabiłem pierwszą z trzech lecących słonek (pewnie była to samiczka), dwie następne zaraz przy niej zapadły. Pies, szukając zabitej, spłoszył je, tak, że jeszcze jedną z nich udało mi się zastrzelić. Przy pogodnym i ciepłym dniu strzał, zwłaszcza do pojedynczej słonki, nie jest zbyt trudny. Inaczej jest jednak w dzień wietrzny i chłodny, gdyż słonki lecą wtedy znacznie prędzej. Najłatwiej jest spudłować, gdy lecą dwie albo i trzy słonki, goniąc się i żgając. Lecą wówczas bardzo nierówno, ciągle się wymijając i trudno jedną z nich chwycić na cel.

Na ogół nieźle do słonek strzelałem, zdarzyło mi się jednak chybić jednego wieczoru do 5 czy 6 słonek. Było to na Kresach i jedyny raz, kiedy miałem okazję strzelać do tylu słonek jednego wieczoru. Stałem na dosyć szerokim dukcie, przede mną od zachodu był wysoki las świerkowy, a za mną nieduży zagajnik liściasty. Słonki nadlatywały od strony świerków i dochodząc do duktu — prostopadle obniżały lot. Nie mogłem żadnej trafić, co mnie strasznie zirytowało, tym bardziej, że uchodziłem już za dobrego strzelca, toteż ambicja moja srodze wtedy ucierpiała.

Za młodych lat polowałem też z psem na szukanego w brzozowych i olszowych zagajnikach. Daje to również pewne emocje myśliwskie, zwłaszcza, że strzał nie jest łatwy o ile zagaj jest względnie wysoki.

Na pędzeniach jesiennych słonka cieszy i pasjonuje myśliwego nie mniej od lisa. Często ją się wtedy chybi z pośpiechu, a strącona celnym strzałem budzi zazdrość towarzyszy.

W jednym z sąsiednich łowisk urządzano co roku wiosną pędzenia na słonki przy udziale kilku strzelb, z pomocą kilkunastu chłopców. Padało wówczas jednego dnia po kilka, a czasem i po kilkanaście słonek, wieczorem zaś stawało się jeszcze na ciągu. Polowanie to sprawiało także dużo emocji, lecz nie miało tego nastroju, co na ciągach.

W jesieni spotykałem nieraz słonki w małych remizkach polnych lub nawet w ogrodzie. Zastrzeliłem ich tak przypadkowo kilka. W ten sposób zdobyłem moje ostatnie dwie słonki. Przechodząc z synem koło małej remizki polnej, zobaczyłem dwie słonki, jak zerwały się z jednej i zapadły w drugą remizkę, trochę dalej położoną. Nie mając przy sobie strzelby, posłałem po nią syna do domu. Wkrótce przybiegł z bratem i we dwóch przepędzili remizkę, a ja stanąłem od strony pierwszego zagajnika. Słonki nadciągnęły na strzał i strąciłem je ładnym dubletem.



Ciąg słonek rys. Brzozowsk

Pojedyncze słonki zatrzymywały się czasem w łowisku przez lato. Spotykałem niekiedy poszczególne, głośno ciągnące sztuki w maju lub w czerwcu, a raz w lipcu, wracając o zmroku z lasu, zobaczyłem dwa ptaki, siadające na drodze koło kałuży. Myśląc, że to „kozodoje", czyli nocne jaskółki, strzeliłem do nich, gdyż potrzebowałem żeru dla hodowanych młodych lisów. Zabiłem oba ptaki jednym strzałem i wtedy skonstatowałem ze zdziwieniem, że to dwie słonki. Oczywiście, lisy ich nie dostały, ale ja miałem wyrzuty sumienia, że w tak nie myśliwski sposób je zabiłem.

Czy słonki się u mnie lęgły, tego nie mogłem stwierdzić, gdyż nigdy gniazd, ani młodych nie widziałem. Sądząc jednak z powyższych faktów mogło się to zdarzyć.

Dzięki ci zatem, ptaku miły, za tyle wrażeń i emocji myśliwskich. Dziś jeszcze tak samo ucieszy mnie twoje gwizdnięcie, jak za lat młodzieńczych.

JAN EDWARD KUCHARSKI

Notatki z łowiska

MYŚLAŁEM o tobie, miły kolego z okolic Słupska. Pod dęby przed twoim domem podkradają się zapewne i w tym roku otulone październikowym zmierzchem — dziki. Jelonek sierota na pewno wyrósł już, obrzydło mu towarzystwo krów i wypuściłeś go do lasu. Pamiętam, jak chciwie chłonął rozszerzonymi chrapami lekki powiew, idący wieczorem od puszczy. Mała grzywa jeżyła mu się na karku, bezrogie czoło marszczył niespokojnie. Po chwili upieszczony twoją ręką opuszczał łeb i wracał cichy między krowy. Zapadał zmierzch.

Zmęczeni, siadaliśmy na ławeczce przed domem. Nie mówiliśmy wiele. Była cisza. Rykowisko już się kończyło — coraz rzadziej rozlegało się namiętne stękanie byków. Trwało krótko, nie miało już tej potęgi co przed trzema tygodniami. Główni zapaśnicy odpoczywali w najgłębszych gąszczach po miłosnych turniejach. Gdzieś niedaleko zahuczał władca nocy — puchacz. Tego dnia pokazywałeś mi jego ostoję w lesie.

O świcie miałem wracać do miasta. Omówiliśmy sprawę koni na stację. W kilku słowach poskarżyłeś się wtedy na monotonię leśnego życia. Oczarowany lasem mieszkaniec miasta nie zrozumiał cię. Zapytałem:

— Czy nie mógłby pan przenieść się do miasta?

— Mógłbym — odpowiedział po długim namyśle.

— A tego — zatoczyłem ręką przed sobą — nie byłoby panu żal?

Nagły poryw wiatru zaszumiał dębami i rzucił nam pod nogi kłąb zeschłych liści. Oparłeś głowę o drewnianą ścianę.

— No tak — powiedziałeś z uśmiechem — ale miasto ma jednak swoje dobre strony.

Pozdrawiam cię, miły kolego z okolic Słupska. Na pewno w mieście jeszcze nie mieszkasz.

*

Zagłębie Dąbrowskie nigdy nie śpi. Przez otwarte okno dobiega mnie z głębokiej nocy dudnienie maszyny wyciągowej. Nocna zmiana przygotowuje kopalnię na następny dzień wydobycia. Huty pracują całą dobę — wielkie piece nie znają odpoczynku. Co osiem godzin ryczą syreny beznamiętnie, jednakowo, nieuchronnie. A spod ziemi płynie węgiel, węgiel, węgiel... Czarne bryły lśnią w płuczkarniach, węglarki podjeżdżają pod krany. Na cztery strony świata jadą pociągi z węglem Zagłębia Dąbrowskiego.

W szerokie chodniki po wybranym węglu leje się piasek z wodą. Zamułka. Trzeba wypełnić ranę zadaną ziemi, trzeba myśleć o dalszym wydobyciu, nie wolno naruszać równowagi natury. Gdzieś za miastem wielki bagier ładuje wagoniki elektrycznej kolejki. Pociągi złotego piasku nikną za żelazną bramą kopalni, aby po chwili powrócić po nowy ładunek.

Mrużę oczy odwykłe od słonecznego światła. Poza mną zostaje czarna brama, wieże szybów. Pociąg wpada między pola, powietrze zaczyna smakować. Na horyzoncie rośnie w oczach — las. Karłowate sosny wykręcają ku słońcu jasne konary, poszycie jest ubogie i rzadkie, ale w tej chwili na całym świecie nie ma dla mnie piękniejszego lasu. Idę między drzewami, dłonią dotykam chropowatej kory, buty stąpają cicho po przychylnym igliwiu. Ciepłe powietrze pachnie dostałą żywicą, z góry dobiega zajadłe cmokanie wiewiórki.

W tej chwili, miły kolego z okolic Słupska, zrozumiałem twoją tęsknotę za miastem. To była tęsknota za pełnią życia. Twoja puszcza — to dla mnie miasto, zaś twoje marzenie o nieciekawym prowincjonalnym mieście — to dla mnie dotknięcie tego pnia karłowatej sosny w lesie opodal Dąbrowy Górniczej.

*

Już o piątej siedziałem za niskim krzakiem olszyny na skraju piekielskich łąk. Przeloty kaczek rozpoczęły się na dobre. Na zachodzie niebo miało jeszcze ciemnogranatowy ton — głęboki, jak zwykle przed świtem. Gdzieś na horyzoncie odgadywałem daleki kontur Huty Bankowej i gęstwę otaczających ją kominów. Od wschodu kłębiaste chmury jaśniały już wewnętrznym światłem zbliżającego się świtu. Był to blask wątły i delikatny, wystarczył jednak, by na jego tle ostry kontur lasu odciął się zwartą czernią. Była cisza. Daleki stukot przejeżdżającego pociągu spłynął po niej jak woda po szkle. Nad łąkami wystawać zaczęła — gęstniejąca z każdą chwilą — mgła. Niebo nad lasem jaśniało coraz bardziej, zaróżowiało się, róż gęstniał w czerwień, czerwień rozlała się w purpurę szeroką łuną. Wierzchołki pojedynczych sosen drżały prześwietlone blaskiem.



Tak dawniej polowano
rys. L. Maciąg

Spojrzałem na zachód. Ciemny granat pojaśniał o kilka tonów — horyzont krył jeszcze mrok — i nagle, jakby ze środka ziemi, z samego „jądra ciemności" — buchnęło czerwone światło. Wsparte o granatowe chmury rozbłysło wielkim półkolem drżało, wahało się, falowało jakąś utajoną, wiotką energią. Przez moment zdumienie odebrało mi zdolność myślenia. Odbicie wschodu słońca na zachodzie? Jakaś fata morgana?

Dzień wychylał się na wschodzie krwawą tarczą słoneczną, łuna na zachodzie chwiała się, kurczyła, gasła. Zrozumiałem. Spust żelaza z wielkich pieców Huty Bankowej był skończony. Gdyby trwał o kilka sekund dłużej, byłbym zapewne przepuścił piękny klucz krzyżówek, rwący nade mną z czarującym pogwizdem lotek. Pierwsze strzały.

*

Przez srebrno-zieloną, rosistą łąkę biegnie prosty pas ciepłej, żywej zieleni. Ktoś szedł przede mną tego ranka i postrącał srebrne kropelki z łodyżek. Kto to był?

Na pewno nie myśliwy. Szlak uwolnionych z rosy traw biegnie prosto bez odchyleń w wybranym

kierunku. Tak chodzą ludzie do pracy lub za jakąś określoną a pilną sprawą. Może to był spóźniony robotnik idący do piaskarni — skrócił sobie drogę na przełaj — może choroba dziecka wygnała ojca o świcie po lekarza. Ten człowiek na pewno szedł szybko, myślał o swojej sprawie i nie widział niczego dokoła. Mój ślad biegnie kapryśnym zygzakiem. Dorodna para krzyżówek wisi na trokach, strzelbę zarzuciłem na plecy. Co kilkanaście kroków rwą się z krzykiem bekasy. Nie będę dziś do nich strzelał. Chyba wiedzą o tym, bowiem rwą się blisko, a ich ostre zygzaki wydają mi się dziś wolniejsze.

Na suchym badylu ostu siedzą dwie duże ważki. Skrzydła ich drgają szybko, brzęcząc jak daleki samolot. „Rozgrzewają motory do lotu". Za chwilę uniosły wyżej odwłoki i popłynęły w stronę lasu. Niewiele mają już dni do pierwszych, porannych przymrozków.

*

Piękne koniczyny mieliśmy w tym roku. Na skoszonej łące pod lasem w Mariankach zostało gniazdo kuropatwy. Dwadzieścia gładkich, oliwkowych jajeczek leżało w małym zagłębieniu ziemi. Kosa musiała przejść tuż nad nimi. Zapewne starka w ostatniej chwili zeskoczyła z gniazda. Myślę z sympatią o kosiarzu, co odkrył gniazdo, obejrzał, pomyślał o przyszłym stadku... i ruszył dalej z szerokim zamachem ramienia. Za nim zostawały pasy skoszonej koniczyny. Najbliższy leżał w odległości metra od gniazda. Stanąłem zakłopotany. Czy starka wróci wysiadywać jajka na odkrytym polu? Czy nie przestraszy się, jeślibym otoczył gniazdko kilkoma gałązkami? A może zabrać jajka i podłożyć pod kurę? Tak, to było by najlepsze. Nawet gdyby matka wróciła na gniazdo, to przecież zginie w odkrytym polu niechybnie. Lis, jastrząb, kot — któż zliczy wrogów kuropatwy.

Jednak tego dnia nie zabrałem jajeczek, na skraju łąki wbiłem dwie gałązki kierunkowe i postanowiłem przyjść nazajutrz.

Słońce przechyliło się już na zachodnią stronę, gdy następnego dnia stanąłem przy swoich gałązkach. Zacząłem iść wzdłuż pasa schnącej koniczyny. W miejscu, gdzie wczoraj z daleka bielały jajka, pas koniczyny wybrzuszał się na odległość półtora metra. Cała przestrzeń między nim a gniazdem pokryta była gęsto zwleczonymi źdźbłami. Podszedłem cicho kilka kroków. Na gnieździe siedziała starka. Z trudnością dojrzałem ją z bliskiej odległości. Naściągała na siebie całą kępę rdzewiejących kwiatów koniczyny, dłuższe badyle sterczały dokoła. Była tak wspaniale zamaskowana, że najbystrzejsze oko mogłoby się prześlizgnąć bez uwagi po niepozornej kupce siana. Widziała mnie i niespokojnie kręciła łebkiem. Wycofałem się z łąki ostrożnie. Za kilka dni znalazłem puste gniazdo. Nikłe ślady skorupek mówiły o szczęśliwych urodzinach.



Młoda sarenka

Dzisiaj na sąsiednim ziemniaczysku spotkałem silne stadko kur. Wyrwały się na dobre 60 kroków i pomknęły z wiatrem, jak kule.

— Mądrą macie matkę, smarkacze — pomyślałem, spoglądając za stadkiem zapadającym daleko w wielki łan łubinu.

*

Pod wieczór wracaliśmy do domu po całodziennym łażeniu za bekasami. Droga biegła przez las. Trzeba się było spieszyć do stacji na ostatni pociąg. Kolega szedł za mną o kilka kroków i posykiwał co chwila. Nieźle musiał obetrzeć nogę w gumowym bucie.

Opodal wsi las cofał się szerokim łukiem, ustępując miejsca dużej, wilgotnej polanie. Wąski strumień, płynąc krajem, oddzielał ją od pierwszych wiejskich zabudowań.

Na łące stała para sarn. Koza, wysunąwszy nóżkę do przodu, spokojnie szczypała trawę, rogacz co chwila podnosił łeb i bystro lustrował okolicę. Zachodzące słońce oświetlało tę scenę jaskrawie.

W tej chwili uczułem złość na tych wszystkich niemiecko-szwajcarskich pacykarzy, malujących myśliwskie landszafty. Bo to właśnie było takie same — tylko żywe. Łąka miała kolor szmaragdowy, suknie sarn odbijały się na niej jasną rudzizną, dachówki domków na dalekim planie były w słońcu jaskrawoczerwone. Staliśmy cicho, wpatrzeni w sielankowy obraz.

W pewnej chwili zauważyłem, że nie jesteśmy sami. Na skraju lasu, obok fantastycznie powykręcanej sosny, stało dwoje młodych ludzi. Tak, jak i my przyglądali się sarnom.

Ona, w kwiecistej wiejskiej spódnicy i serdaku, oparła głowę na ramieniu chłopca, on trzymał ją w pół i przytulał do siebie. Kolega mój, jeszcze ich nie spostrzegł, wpatrzony w figlujące teraz na łące sarny.

Położyłem mu dłoń na ramieniu.

— Chodźmy — szepnąłem — żeby ich nie spłoszyć.

— Co, sarn? — zapytał zdumiony, mierząc oczyma odległość wynoszącą chyba ze trzysta metrów.

— Mhm, sarn — odpowiedziałem, idąc bez szmeru po piaszczystej drodze.

*

Kiedy wrześniowe słońce chyli się za daleki las na horyzoncie, na ziemię spływa łagodny, rześki chłód.

Usiadłem pod łanem wysokiego łubinu. Aza, wyciągnięta u moich stóp, lizała spracowane łapy. Dwie wiązki kuropatew leżały obok niej. Spoglądała na nie z wyraźnym zadowoleniem i zapewne z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Wokół nas trwała zajadła kanonada łubinów: pstyk, pstyk, — pstyk, pstyk, pstyk — pstyk! Nagrzane słońcem strączki kurczyły się na wieczornym chłodzie i pękały, strzelając drobymi nasionami. Pamięć przeskoczyła dziesięć lat — wrzesień 1939 r. Boratycze, w okolicach Łańcuta. Trzeci raz tego dnia mieliśmy iść na bagnety. Siedziałem w głębokiej ziemiance, przepisując ostatni rozkaz batalionowy. Za chwilę goniec miał go ponieść dalej. Pod metrową warstwą ziemi bezładną strzelanina piechoty brzmiała tak samo, jak to pstykanie łubinów — tylko wtedy, każdy taki trzask niósł ze sobą śmierć, tu zaś jest zapowiedzią nowego życia.

*

Z kępy niekoszonych trzcin, przed samym nosem psa wyleciał wspaniały kogut cietrzewi. Słońce zalśniło na moment na granatowej czerni liry. Ciężko wzbił się na 10, 15 metrów i równym lotem popłynął w stronę ujejskiego lasu. Patrzyłem za nim, póki nie zniknął mi wśród gęstniejących wysp sosen i brzóz.

Wspominam ujejskie tokowisko 1947 r. Mam wprawdzie nadzieję, że będę jeszcze na bogatszych, piękniejszych tokach, że z wilgotnej łąki podnosić będę nie raz czarnego



Tokujący głuszec

rys. J. Bułka

rycerzyka lasu, ale ten nadprzemszański kwiecień wrył się w pamięć na zawsze. Sprawiła to jedna, niepowtarzalna chwila przedświtu. Chwile takie trafiają się bardzo rzadko. Z bogatego pamiętnika wspomnień łowieckich, wyłuskuje się je jak drogie kryształy spośród skał. Wystawione na światło dnia, lśnią nigdy nie gasnącym blaskiem.

Bowiem, jeśli prozę życia myśliwego stanowi samo spotkanie zwierzyny, błyskawiczny refleks mięśni i celny strzał, — to poezją tego życia, będzie zawsze — najtrudniejsze do wyrażenia — obcowanie z naturą. Jej pieszczoty i udręki, uśmiechy i groźne pomruki gniewu, mądrość, której nigdy nie dość się uczyć, i piękno, rozrzutnie posiane po świecie — to są skarby, z których czujne zmysły i wrażliwe serca czerpać mogą bez miary. Jednak, nie zawsze czerpią i dlatego często się zdarza, że myśliwy wraca z łowiska z bogatym łupem na trokach, a bez zdobyczy w sercu.

Ciężki mrok krył jeszcze las sosnowy i nadprzemszańskie łąki, kiedy wyruszyliśmy do przygotowanych budek. Strażnik Sapeta prowadził pewnie skrajem drągowiny aż do piaszczystej szkarpy. Potem szedłem sam wilgotną łąką w kierunku nikłej kępy krzaków. Wreszcie dotarłem do budki, otuliłem się w burkę zamarłem w bezruchu. Od lasu dobiegł krzyk jakiegoś nocnego ptaka, po czym zapanowała niczem nie przyrywana cisza. Była to cisza od jakiej dzwoni w uszach — najlżejszy powiew nie poruszył liśćmi. Ziemia oddychała świeżą wilgocią, od lasu ciągnęła żywiczna woń młodych pędów. Do świtu było jeszcze daleko. Nagle, niespodziewany łomot skrzydeł rozdarł powietrze na dwoje. Gdzieś w pobliżu zapiał kogut. Sprawdziłem położenie okienek, — półobrotem ciała osiągnąłem je bez trudu. Wzburzone fale głosowe wracały w swoje łożyska, ale teraz cisza nie dźwięczała już w uszach. Była to cisza oczekiwania, napięta i czujna. Cały zamieniłem się w słuch. Miałem uczucie jakby to nie moje ucho śledziło najlżejszy dźwięk ,a tylko gdzieś nad łąką znajdowało się centrum odbioru, skąd tak samo wyraźnie słyszałem bicie własnego serca lub szmer zgniecionego materiału burki, jak i szelest drżących na najlżejszym powiewie liści osiki.

Szarzało. Z każdą chwilą zwiększało się moje pole widzenia. Pięć, dziesięć, piętnaście metrów — mrok ustępował coraz dalej, chronił się pod las, wpełzał pod jego poszycie.

Łąkę ogarniała błękitnawa szarość. I nagle dwa donośne dźwięki — ciuch — sziiit... Zmysłowi słuchu skoczył na pomoc wzrok: krzywił kształtny łeb i nasłuchiwał, po czym kilku drobnymi kroczkami posunął się w stronę kępy krzewów. Znów zamarł bez ruchu, ale już tylko na moment. Zaczął grę. Raz i drugi powtórzył jeszcze oderwane — ciuch — sziiit, potem zaczął je łączyć jakimś namiętnym, niemożliwym do wyrażenia, bełkotem, od którego wstrząsał się cały. Sztywno wyprężone wzdłuż tułowia skrzydła z chrzęstem sunęły po ziemi, szeroko rozłożona lira — drżała. Okręcał się wokół własnej osi, błyskał lustrem białych piór pod lirą, drobnymi skokami posuwał się szybko to w jedną, to w drugą stronę, zataczał półkola i znów, jakby pusząc się przed niewidocznym wrogiem, obracał się dokoła. Wyprężona szyja mierzyła coraz częściej w stronę kępy krzaków. Wytężyłem wzrok i wreszcie dojrzałem. W cieniu niskiej gałęzi siedziała cieciorka. Od niechcenia dziubnęła raz i drugi młode pędy listowia, po czym zajęła się toaletą swoich piór. A jej czarny kawaler szalał w bohaterskiej tyradzie.

Rozwidniło się zupełnie. W pobliskiej drągowinie sroki zwoływały się na jakąć zbójecką wyprawę, drobne ptaszki witały chórem zbliżający się świt.

I właśnie wtedy — nagle wszystko ucichło. Wyprężony do przodu kogut zamarł bez ruchu, cieciorka z przekrzywioną główką patrzyła bez drgnięcia w stronę lasu, umilkły sroki, ani jeden głos z chóru małych śpiewaków nie przerwał ciszy. Na cały świat spłynęła chwila tak silnego skupienia, że wstrzymany oddech zamarł mi w piersiach, w oczekiwaniu na coś wielkiego, co za chwilę musi się stać. Straciłem poczucie swojej osobowości, wszystkie zmysły wtopiły się w otaczającą przyrodę. Nie myśląc wiedziałem, że tej chwili nie wolno mi zakłócić, pod groźbą jakiegoś kosmicznego kataklizmu. To była jakaś najważniejsza chwila, jakaś adoracja, hołd.

Z za horyzontu wybłysnął nagle pierwszy promień słońca. Powitała go fala radosnego świergotu, wyższa, donioślejsza niż przedtem. Kogut drgnął, zatoczył się w bok i zabełkotał od razu w najwyższym napięciu. Cieciorka wróciła do swoich piór. Odetchnąłem.

Powoli podniosłem broń do oka i powoli opuściłem ją na dół. Jeszcze czas. Kiedy jednak na łąkę przede mną opadł drugi, większy od mojego, wojownik i w świeżym zapale natarł piersią na przeciwnika, — podniosłem broń po raz drugi.

— Źle trafiłeś bracie, nie udadzą ci się konkury. Buchnął strzał.

*

Dziś nad wieczorem widziałem pod buczynami na skraju ujejskich pól — borsuka. Otyły starszy pan pchał przed sobą kłąb zeschłych liści i igliwia. Odpoczywał przy tym i dmuchał przez nos niezadowolony. W pewnej chwili zawietrzył w moją stronę, fuknął i w dwóch skokach był przy norze. Na jej ciemnym tle mignęła tylko jego kiść.

Roześmiałem się. Nie posądzałem nigdy grubasa o taką szybkość.

*

Ranek był pochmurny i mroźny. Szedłem wzdłuż rzeki za kaczkami. Oparzeliska i rozlewy były już zamarznięte, a na rzece rwało się często po kilka sztuk. Troki ciążyły mi dość znacznie, postanowiłem wracać do do u.

Około godziny 10 chmury pociemniały, nadbiegł niespodziewany wiatr i zaczęła się zadymka — pierwszy śnieg w tym roku. Przeczekałem ją pod rozłożystym chojarem.

Biało było na świecie, kiedy wyszedłem na szeroki, leśny dukt. Najpiękniejsza księga myśliwskiej przygody — ponowa, leżała przede mną w pełni krasy. Była świeża, dziewicza jeszcze w obrębie mego wzroku, choć na pewno leśni mieszkańcy już zaczynali pisać na niej swoje zwycięstwa i klęski.

Przede mną świeży ślad zająca. Wylazł z pod tego świerczka, chwilę stał słupka — widać wyraźnie — poczym pokicał spokojnie środkiem duktu. Na pewno był to stary wyga, nie pierwszy raz przeżywał zimę, spokojnie cyfrował swój ślad, przystawał, rozglądał się. Jego synowie czy też wnuki zapewne szaleją teraz z przerażenia na pierwszym śniegu. Dopiero, kiedy po opętanych skokach tchu zaczyna brakować, a miękki śnieg znakomicie ochłodzi rozgrzane ciało, następuje bliższe poznanie i oswojenie się z nowym zjawiskiem.

Idę dalej. Z lewej strony dołącza się do tropów mojego zająca jakiś drugi trop. Kto to? Oczywiście lis. Równiutko ułożony łańcuszek sznurującego mikity biegnie obok śladów szaraka dziesięć, dwadzieścia, sto metrów. Hm, strasznie to głupie z twojej strony — rudzielcu — tak się wlec na ogonie zdobyczy. Widocznie zupełnie straciłeś koncept lub jeszcze nie rozumiesz, jaką szansę daje ci ta biała pokrywa. Oj, zdaje się, że już zrozumiałeś.

Ślad lisa odbiega w bok skokami i znika w lesie na lewo. A mój zając kica spokojnie dalej. Idę tak za nim może kilometr, przede mną na środku duktu przycupnęły dwa świerczki. Do dalszego z nich, z lewej strony lasu, ciągnie się sznur lekkich, trochę zatartych śladów. Już rozumiem. To miejsce wybrałeś chytry mikito na zasadzkę, dobry wybór, nie ma co. Podczołgałeś się za świerczek i tu rozpłaszczyłeś na śniegu, widać wyraźnie odbity brzuch i lekki ślad kity. I co dalej? Mój zając ominął świerczek z prawej strony, a wtedy ty — mikito — skoczyłeś. Głęboko odbiłeś się od ziemi i—... ach patałachu! nie trafiłeś. Spadłeś na cztery łapy tuż za zającem. Szarak dał susa, chyba na trzy metry i rozpoczął opętany bieg o życie. Lis sadzi za nim z największą pasją, jest wściekły na swoje fatalne pudło. Nie dogonisz zająca rudzielcu, szkoda nóg! Ze trzysta kroków trwa szalona pogoń. Skoki szaraka odbijają się jak sprężyny, grudki ziemi i śniegu pryskają daleko. Wreszcie na lisa przychodzi moment refleksji, zwalnia i za chwilę znika na lewo w lesie.

No cóż — mikito! — ja też czasami łażę cały dzień po lesie i wracam do domu z pustą torbą. Nie udało się raz, uda się drugi raz, a może za tym drugim razem ty sam powędrujesz na damską szyję, w postaci pięknego kołnierza. Kto wie?



Ociera scypułę... rys. T. Bełżecki

ADAM GULGOWSKI

O prawidłowym prowadzeniu wyżła kontynentalnego

Sprawa wyżła dowodnego czyli wszechstronnego staje się coraz ważniejsza i coraz więcej znajduje zainteresowania wśród myśliwych. Nowa ustawa łowiecka także poświęca uwagę tej sprawie. Bardzo mało jest jednak myśliwych, którzy mają pojęcie o pracy i prawidłowym prowadzeniu wyżła. Dlatego piszę to przede wszystkim dla tych myśliwych, którzy chcą nabyć wyżła, względnie nabyli a nie wiedzą jak go poprowadzić.

Jako podstawę przyjmuję, że wyżeł jest wytresowany, posiada apel, potrafi aportować zgubę, pracować na sfarbowanym śladzie i inne umiejętności wymagane od wyżła dowodnego. Samą tresurą nie będą się zajmował, bo to temat osobny i bardzo obszerny.

Zacznijmy od chodzenia psa przy nodze. Przy nodze — to zasadnicze miejsce wyżła. Dopiero, gdy ma wykonać jakieś zadanie, odchodzi od nogi; np. gdy ma zbadać łan buraków czy ziemniaków w poszukiwaniu kuropatew lub dopędzić rannego zająca na sfarbowanym szlaku. Po wykonaniu zadania, powinien obowiązkowo wrócić do nogi i pozostać w tej pozycji do następnej roboty. Nie można psu pozwolić na bezplanowe uganianie po polu na około idącego pana. Możemu psu pozwolić wybiegać się, gdy go wypuścimy z ogrodzenia i wyjechaliśmy na pole. Hasanie to jednak nie może trwać zbyt długo. Podwójny gwizdek — „ślady" — i wyżeł dalej idzie przy nodze.

Czy pies ma iść za nogą czy obok czy nawet nieco wyprzedzić myśliwego — to jest kwestia. Dochodzę do wniosku, że wyżeł, który przeszedł tresurę nie brutalną lecz łagodną, a przy tym jest inteligentny, zawsze ma tendencję do wyprzedzania swego pana. Interesuje się bardzo otoczeniem i dlatego prawdopodobnie nie lubi zasłony przed sobą. Pójdzie natomiast za nogą wyżeł przygnębiony, wylękniony, który przeszedł tresurę „par force", względnie jest mało inteligentny; chociaż w czasie lekcji chodzenia przy nodze i jeden i drugi musieli iść za nogą a nie obok.

Przy polowaniu w pojedynkę, wyżeł powinien iść bez otoku. Na zbiorowych polowaniach jako zasadę należy uznać trzymanie psa na otoku, bo nawet najlepiej ułożony nieraz popełni błąd, a to robi złe wrażenie i niepotrzebnie denerwuje współmyśliwych, znawców psiej sprawy. Psa puszczamy tylko poza kocioł, gdy mamy pewność postrzelenia zająca czy lisa, lecz nigdy do kotła. Pamiętajmy o tym, że każda bezowocna gonitwa za postrzałkiem to cegiełka do zmniejszenia jego niezawodności w pracy. Jako zasadę powinniśmy przyjąć, że jeżeli psu nakażemy gonić postrzałka, to też musimy doprowadzić gonitwę do wyniku dodatniego. Wyżeł musi być utwierdzony w przekonaniu, że jeżeli otrzyma rozkaz aportowania zguby, to jego obowiązkiem jest gonitwa, aż do skutku. Sytuacja zmienia się po bezowocnej gonitwie jednej czy drugiej. Pies zaczyna przyzwyczajać się do tego i im więcej takich okazji tym szybciej pies się zepsuje. Oczywiście, do wytrwałej gonitwy potrzebna jest u psa pasja łowiecka. Pies bez silnej pasji nie nadaje się w ogóle na wyżła wszechstronnego. Szkoda mozołu tresury.

Na polowaniu zbiorowym wyżeł zawsze idzie obok myśliwego na otoku. Źle świadczy, gdy myśliwy oddaje psa naganiaczowi — „bo za bardzo się rwie na widok zajęcy i za bardzo ciągnie za otok, człowiek zmęczy się samym trzymaniem go, a mowy nie ma o spokojnym strzelaniu". Tego rodzaju odpowiedzi można nieraz usłyszeć. Taki myśliwy z tych czy innych powodów popsuł psa, może nawet nieświadomie. Trzeba natychmiast rozpocząć systematyczne powtórzenie lekcji chodzenia przy nodze aż do skutku, a na polowaniu brać psa ze sobą i dopilnować jego prawidłowego zachowania się. Wyżeł dobrze ułożony nie przeszkadza w żadnym polowaniu. Odmienne zdanie wielu myśliwych, z którym się często spotykam, świadczy o braku umiejętności prowadzenia wyżła.

Następna sprawa to posyłanie psa za postrzałkiem sąsiada myśliwego Twierdzenie myśliwego, że „zając dobrze dostał, na pewno leży za górką" i tym podobne, należy przyjmować z rezerwą, chyba że właściciel psa sam obserwował strzał i stwierdził postrzał. Uważam, że każdy myśliwy powinien mieć własnego wyżła dobrze ułożonego, a nie patrzeć na sąsiadów z psami i krzyczeć w kocioł „psa puścić, psa puścić!" —bo on przecież postrzelił zająca, a gdy nie puszczono psa czuje się dotknięty. Świadczy to jedynie o niskim poziomie jego etyki łowieckiej. Jeśli wytrawny myśliwy postrzeli zająca, a nie posiada psa, to najwyżej przyjdzie do właściciela psa, aby razem pójść na miejsce strzału. W takim wypadku można psa posyłać, zwłaszcza jeśli są wyraźne ślady postrzału (turzyca, ślad uderzenia śrucin na śniegu czy podorywce i inne).

Prowadzenie wyżła na kurach wymaga dość znacznej techniki, zwłaszcza jeśli mamy wyżła bardzo pasjonowanego, który daleko okłada pole.

W drodze na łowisko pies idzie przy nodze lub przy wozie. Nie śmie pętać się dowolnie po mijanych zagrodach wiejskich czy zawierać znajomości z napotykanymi kundlami wsiowymi. Jego praca zaczyna się z chwilą, gdy doszliśmy do pierwszego łanu kartofli czy buraków. Rozkaz „szukaj!" z wskazaniem ręką kierunku i pies jak z procy wystrzelony wpada w łan. W czasie jego pracy trzeba pilnie baczyć na teren, aby w porę zapobiec ewentualnym błędom, jak gonitwa za zającem i inne. Wpojony psu w czasie tresury rozkaz „nie wolno!", wypowiedziany tonem grożącym, powinien go przyhamować. Jeżeli zdarzy się pomimo to gonitwa, to nie wolno silić się na silne gwizdy czy wołanie, o ile pierwsze nie skutkowały. Przyczynia się to bowiem do przytępienia reagowania na gwizdek, a i tak psa nie cofnie. Trzeba odczekać aż wróci — nie ma innej rady. Gdy wróci, bez słowa i bez bicia bierzemy go na tok i prowadzimy do uprzednio wyszukanego kopna. Tutaj „waruj!" — „nie wolno" i „pełzaj!" w promieniu 10-me-

trowym naokoło kopna, wciąż przypominając „nie wolno!". Po dwu, trzech okrążeniach podchodzimy pod wiatr do kopna i pies musi warować jakiś czas (do 20 minut). Oczywiście, myśliwy odchodzi od psa, pozostawiając go na „rozmyślaniu" samego. Jeśli pies przeszedł systematyczną tresurę, to taka jedna lekcja często wystarczy, aby dalej już respektował zająca.

Typowy wypadek miałem z ostatnio układanym wyżłem, którego otrzymałem do ułożenia jako 12-miesięcznego psa, a który, jak się przekonałem, był już zepsuty nieprawidłowym wychowaniem. Potrafił on w trzy tygodnie po otrzymaniu go zdławić w moich oczach młodą 9-cio miesięczną sarenkę, pomimo niesamowitego już mego wołania i krzyczenia. Pomimo to po półrocznej pracy nad nim ostatecznie respektował bardzo ładnie każdego wypchniętego zająca. Ważnym jest baczne zwracanie uwagi na teren. Gdy zauważymy umykającego w ziemniakach zająca, niezauważonego jeszcze przez psa, trzeba czym prędzej podejść bliżej, aby w tym momencie, gdy pies wejdzie na ślad, dać ostrzeżenie „nie wolno!", powtarzając je kilkakrotnie. W ten sposób w zarodku zostaje stłumiona chęć gonitwy.

Wyżeł powinien okładać możliwie w poprzek cały łan, w którym szuka. Gdy tego nie robi trzeba mu pomóc, idąc także zygzakiem. Wygodne jest gdy przyzwyczaimy wyżła do dwu sposobów szukania i to „szukaj krótko!" i „szukaj daleko!" W pierwszym wypadku wyżeł oddala się od myśliwego najwyżej do 20 metrów, gdy w drugim odległość może wynieść i 200 metrów. Przydaje się to, gdy mamy duży łan ziemniaków czy buraków. Pies wtedy powinien chodzić jak najdalej, aby oszczędzić myśliwemu mozolnego zaglądania w każdy kąt. Za to gdy kury zapadną w jakąś koniczynę czy inne proso, skąd nie wyciekają, a pamiętamy dokładnie to miejsce, wówczas pies powinien chodzić możliwie blisko, aby przedwcześnie nie wyparować pojedyńczo zrywających się ptaków. Nie jest to tak trudno nauczyć psa tego kunsztu. Inna rzecz, że nie każdego psa potrzeba tego uczyć, bo gdy pies z natury jest powolny, to nie ma obawy, żeby daleko odchodził. Dotyczy to pasjonowanych psów jedynie.

Aportowanie to dział bardzo obszerny, nie zawsze należycie doceniany w sensie przestrzegania prawidłowego wykonania go przez psa. Takim typowym momentem jest położenie przed myśliwym aportowanej kury czy zająca. Pies powinien z aportowaną kurą usiąść przed myśliwym i tak długo ją trzymać w kufie, aż otrzyma rozkaz „daj!". Ważne to zwłaszcza przy aportowaniu kaczki zbarczonej, jeszcze żywej. Upuszczona może łatwo uciec z powrotem do wody. Zasady tej trzeba koniecznie przestrzegać, bo pies łatwo odwyknie od prawidłowej pracy i mamy wówczas obraz często spotykany na polowaniach, że pies posłany po zająca aportuje go przez pewien czas. Wystarczy jednak strzał w pobliżu czy widok innego zająca, a nasz wyżeł momentalnie puszcza zdobycz, aby ewentualnie pobiec po drugiego w jego oczach strzelonego. Świadczy to o tym, że pies był pierwotnie nauczony prawidłowego aportowania, a tylko błędne dalsze prowadzenie go przez nowego właściciela spowodowało utratę tych prawidłowych zasad.

Nieraz wypadnie zrezygnować ze strzału po to, aby dopilnować prawidłowego wykonania zleconej psu pracy. Ma to miejsce zwłaszcza, gdy mamy psa młodego, świeżo ułożonego. Na kurach, na przykład, bacznie trzeba uważać na prawidłowość pracy i tam najczęściej wypadnie nam zrezygnować z strzału po to, aby przywołać psa do porządku. Gdy wyżeł będzie od młodości dobrze prowadzony, to później nie potrzeba się bardzo obawiać, że nam się zepsuje, chociaż czasem coś źle zrobi, bo sam od razu zorientuje się, że źle zrobił i wystarczy skarcenie słowem dla zadokumentowania swego niezadowolenia,

Przejdę z kolei do prowadzenia psa w lesie, najciekawsze dla zamiłowanego menera. Wymaga ono specjalnej techniki, bo tu wyżeł pracuje na własną rękę. Na otwartym polu mamy go stale na oku, możemy też w porę pomóc czy ingerować, gdy coś źle zrobi.

Omówię tu w ogólnych zarysach tylko pracę na farbowanym śladzie zająca czy lisa, bo na łowy na grubą zwierzynę nie wielu myśliwych może sobie pozwolić.

Wyżeł, oczywiście ,i tu idzie stale przy nodze na otoku lub bez. Gdy postrzeliliśmy zająca, trzeba pójść z psem na miejsce strzału i w spokoju pokazać ręką miejsce i, gdy należycie zbada, zachęcić do pracy — „zgubę aport!" i już wyżeł znika w gąszczu, by wrócić z postrzałkiem. Jeśli wróci niczym, nie można na tym poprzestać i tu, podobnie jak w polu, staramy się doprowadzić do pomyślnego rezultatu. Zakładamy ponownie psa a ostatecznie wchodzimy do zagajnika, każąc psu luzem szukać — „szukaj aport!", aż znajdzie zająca. Spokój i opanowanie nerwów to pierwszy postulat, bo inaczej i pies się zdenerwuje i w ogóle całe poszukiwanie spotka fiasko. Radzę jednak posyłać psa w lesie dopiero wtedy, gdy w polu wykazuje pewność pracy.

Prawidłowy myśliwy zawsze będzie się starał wpierw znaleźć postrzałka, nim strzeli do następnego. Nie zawsze to możliwe, gdy się poluje w kółku myśliwych, u których jest małe zrozumienie dla tej sprawy. Najważniejsze dla nich to ubicie możliwie największej ilości „mięsa", bo przecież muszą się zwrócić wydatki na składkę członkowską ,czynsz dzierżawny i naboje. Jest to objaw smutny, ale tak, niestety, jest.

Dla prawdziwego, etycznego myśliwego takie podejście jest wysoce poniżające i będzie on zawsze nisko cenił takich współtowarzyszy polowania.

Reasumując widzimy, że podstawowe wiadomości i umiejętności prowadzenia wyżła nie są tak trudne, aby nie można było ich posiąść Trzeba tylko odwagi i chęci, postarać się o dobry podręcznik i zacząć. Za późno nigdy nie jest. Powinniśmy do tego doprowadzić, żeby dobry mener nie był takim białym krukiem, jakim jest obecnie. Wyjdzie to na dobre zwierzynie, bo mniej postrzałów uniknie potwornych męczarni powolnej śmierci, trwającej nieraz tygodnie. Skróci je dobry wyżeł-aporter. Z kolei również mniej mięsa (dziczyzny) przepadnie dla rynku krajowego czy zagranicznego.

TADEUSZ BEŁŻECKI

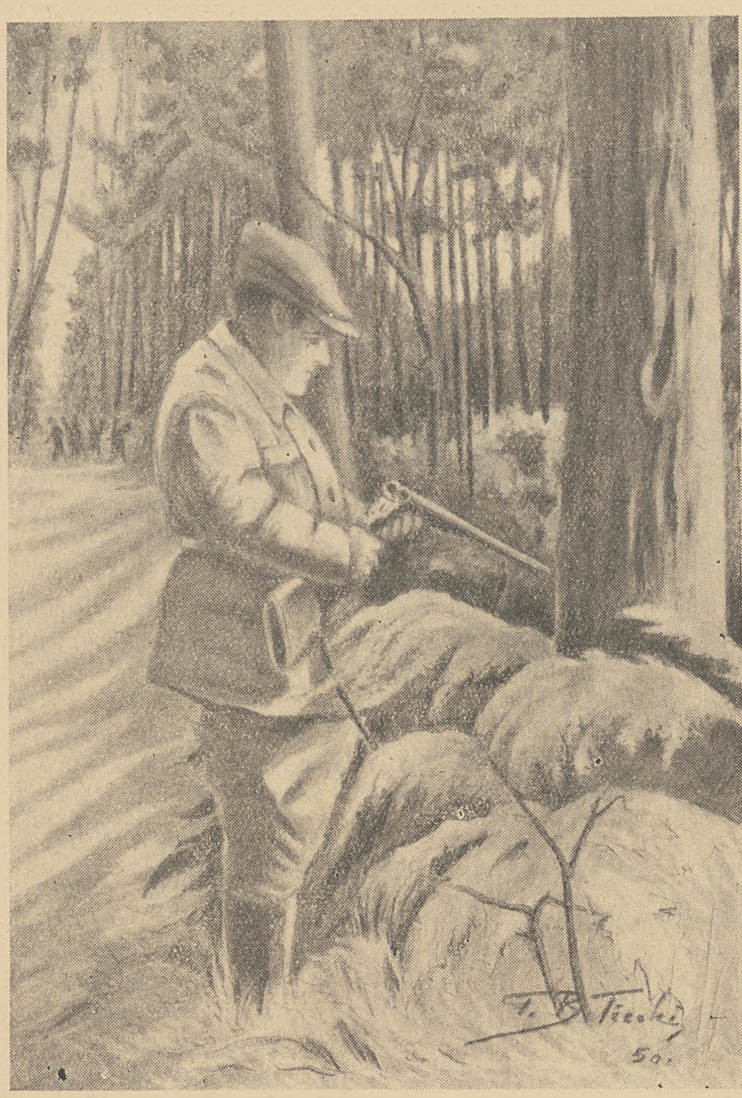
Dlaczego frezer Jan Sypuła założył własne kółko łowieckie

Ostry dzwonek budzika przerwał gwałtownie nocną ciszę małego, lecz zacisznego mieszkanka w domu robotniczym przy państwowej fabryce X.

Jan Sypuła przetarł oczy i spojrzał na zegarek, była godzina trzecia po północy. Uświadomiwszy sobie, w jakim celu nastawił budzik na tak wczesną godzinę. Sypuła zerwał się z tapczanu i począł szybko ubierać się. O godzinie 4.05 odchodził pociąg, którym miał wraz z czternastoma kolegami wyjechać do nadleśnictwa, położonego o kilka stacji od fabryki, skąd mieli się udać na polowanie — pierwsze zbiorowe polowanie nowozałożonego kółka łowieckiego „Metalowiec".

Był to dla Sypuły radosny dzień. Urodzony w głębi boru, jako syn gajowego, Sypuła od lat najmłodszych zżył się z knieją i zdążył ją pokochać. Wyjechawszy do miasta, aby terminować u ślusarza, rzadko odwiedzał dom rodzicielski, lecz nie przestał kochać kniei i stale marzył o tym, aby dorobić się własnej dubeltówki i móc polować. Niestety, w one czasy myślistwo było uważane za sport „pański", który w dodatku był za kosztowny dla młodego pomocnika ślusarskiego.

Przyszła wojna, a za nią okupacja. Sypuła gorliwie pracował w swoim fachu i widząc, że w małym powiatowym miasteczku więcej niczego się nie nauczy, przeniósł się do Warszawy, gdzie dostał się do dużej fabryki i po roku zdał chlubnie egzamin na frezera.



Jan Sypuła na stanowisku. rys. T. Bełżecki

O polowaniu, a nawet o wyjeździe do domu rodzicielskiego nie mogło być mowy i Sypuła z zazdrością patrzył, jak niemiecki Treuhender jego fabryki powracał fabrycznym Buick'iem z polowania, przywożąc zawsze sporo zwierzyny.

Niedługo przed powstaniem warszawskim Janek wstąpił do AL i musiał uciekać do lasu, gdzie jego znajomość kniei i umiejętność tropienia, a także wrodzona odwaga szybko zjednały uznanie towarzyszy partyzantów.

Gdy potężna Armia Radziecka wspólnie z Armią Polską jednym gigantycznym rozmachem wymiotła okrutnego okupanta poza granice Rzeczypospolitej i powstała odrodzona Wolna Polska Ludowa, Sypuła wyjechał na Śląsk, gdzie wstąpił jako frezer do państwowej fabryki X.

Zdolny i pracowity chłopak, mający już wówczas 26 lat, szybko wybił się na czoło i został przodownikiem pracy.

Nie mając, jako kawaler, żadnych rodzinnych obowiązków, w dnie świąteczne miał wiele wolnego czasu, który przeważnie spędzał przy książkach naukowych, gdyż pragnął pogłębić swą wiedzę teoretyczną. Do piłki nożnej i boksu, które to sporty uprawiali jego koledzy fabryczni, Sypuła nie miał zamiłowania, w poszukiwaniu więc godziwych rozrywek pomyślał o myślistwie. Dowiedziawszy się, że dyrektor techniczny i główny buchalter fabryki należą do kółek łowieckich, Sypuła udał się najpierw do dyrektora z prośbą, aby przyjął go do swego kółka. „Pan dyrektor", wysłuchawszy szanowanego przez wszystkich przodownika, zdziwił się niepomiernie, że „prosty robotnik", chociażby i przodownik pracy, może mieć takie „pańskie" zachcianki, lecz odmówić wręcz nie miał odwagi; oświadczył więc dyplomatycznie że i owszem, z całą przyjemnością uczyniłby to ,lecz, niestety, decyzja zależy od zarządu kółka, i że na najbliższym posiedzeniu poprze je-

go kandydaturę, prosi więc przyjść po odpowiedź za tydzień.

Stawiwszy się w umówionym terminie, Sypuła usłyszał, że zarząd kółka niczego innego nie pragnie, jak tylko mieć Sypułę za swego członka, lecz niestety, statut przewiduje maksymalną ilość członków, która jest już przekroczona, a poza tym są jeszcze dawniejsi kandydaci, którzy od roku oczekują przyjęcia, więc z prawdziwym żalem itd...

Zmartwiony Sypuła zdecydował spróbować szczęścia u buchaltera Z.

Buchalter ,człowiek starszy, prawy myśliwy o wysokiej etyce, przyjął Sypułę bardzo serdecznie i obiecał swą pomoc, lecz, nie będąc we władzach kółka, nie mógł na razie nic zdecydować. Po kilku dniach sam odszukał Sypułę w fabryce i zaprosił go, na razie jako gościa na zbiorowe polowanie w najbliższą niedzielę.

Już od soboty Sypuła zaczął przygotowywać się do swego pierwszego debiutu na „prawdziwym polowaniu" ,odczuwając pewien strach przed popełnieniem jakiegokolwiek błędu. — W niedzielę rano na dworcu kolejowym, poznał wszystkich członków kółka, którzy przyjęli go z pewną dozą rezerwy.

Po udanym polowaniu, na którym Sypuła zdobył trzecie miejsce, pod względem ubitej zwierzyny, stosunek do Sypuły stał się bardziej przyjacielski, lecz sam on nie był zadowolony. Nie tego spodziewał się po „rutynowanych nemrodach" — etyka łowiecka pozostawiała wiele do życzenia; strzelanie zajęcy sprzed nosa kolegi, ciągłe spory o „ostatni śrut", nadużywanie alkoholu przy śniadaniu podczas przerwy, wszystko to było nie w smak Sypule; jako prawy socjalista cenił on przede wszystkim koleżeńskość i dobre obyczaje.

Poznawszy na polowaniu miejscowego nadleśniczego, który okazał się bardzo miłym kompanem, Sypuła zwierzył się mu ze swych skrupułów. Nadleśniczy przyznał mu rację, oświadczając, że sam ma wiele zastrzeżeń co do etyki łowieckiej niektórych członków i poradził zorganizowanie własnego kółka, ofiarując jednocześnie swoją pomoc fachową przy organizacji.

Myśl ta podobała się Sypule i, będąc przewodniczącym fabrycznego koła ZMP, postanowił stworzyć kółko łowieckie spośród swych kolegów; z łatwością zebrał przepisowe minimum 15 członków, opracował statut, wydzierżawił przy pomocy nadleśniczego teren i w ciągu niespełna dwóch miesięcy powstało nowe kółko łowieckie „Metalowiec".

Pragnąc od razu postawić swoje kółko na należytym poziomie. Sypuła, w trakcie prac organizacyjnych, urządzał co niedziela w świetlicy fabrycznej wykłady teoretyczne, na których nadleśniczy pouczał o obchodzeniu się z bronią na polowaniu, o czasach ochronnych i obyczajach zwierzyny łownej, a miejscowy łowczy powiatowy wykładał zasady etyki łowieckiej. Przyszli członkowie kółka z całym zapałem słuchali tych wykładów, przygotowując kadry młodych socjalistycznych nemrodów.

Sypuła, który jednogłośnie został wybrany na przewodniczącego, cały swój wolny czas poświęcał organizacji kółka; wszystkie trudności zostały pokonane, wykłady i prace organizacyjne zakończone i oto dziś miało się odbyć pierwsze zbiorowe polowanie. Z bijącym sercem oczekiwał Sypuła wyników tego polowania: kółko „Metalowiec" miało zdać swój pierwszy egzamin łowiecki i zapoczątkować nowe drogi w łowiectwie polskim.

Przeczytawszy w Łowcu Polskim odezwę łowczego Ob. Meliona o współzawodnictwie kółek co do etyki łowieckiej i koleżeńskości, Sypuła zapragnął przyjąć udział w tym współzawodnictwie i marzył o zajęciu jednego z przodujących miejsc — czego mu z całego serca życzymy.

Las — to źródło zdrowia i piękna dla ludzi, schronisko dla zwierzyny, skarbiec gospodarczy dla Państwa



Kacza mama

WACŁAW GORDZIAŁKOWSKI

Hierarchia polowań

Nieraz podczas wypraw łowieckich prowadziło się z towarzyszami łowów ożywione dyskusje o tym, które z polowań są bardziej interesujące i emocjonujące.

Zdania często były rozbieżne. Niektórzy, na przykład, woleli toki cietrzewie w przeciwieństwie, do większości zwolenników toków głuszcowych, na których, pomijając już nieporównanie ładniejsze otoczenie, myśliwy, swobodnie się poruszając, może bez trudu obserwować piękno budzącego się lasu, a poza tym może wykazać swą zręczność i umiejętność łowiecką.

Również często zdania były odmienne co do sposobu polowania na tę samą zwierzynę. Dowodzi to, że reakcja i wrażliwość u poszczególnych myśliwych na emocje łowickie bywa niejednakowa. Ujęcie poszczególnych rodzai polowań w pewien szereg hierarchiczny, co chcę w tym artykule poruszyć, jest więc moim poglądem osobistym, opartym na własnych przeżyciach łowieckich. Pewny jednak jestem, że wielu myśliwych podzieli moje wywody.

Cóż jest motorem emocyj łowieckich, które nam tak często odbierają równowagę duchową i spędzają sen z oczu, i jakie polowania dają głębsze przeżycia łowieckie? Składa się na to szereg czynników. W pierwszym rzędzie oczywiście rodzaj zwierzyny. Jasne jest, że im grubsza i rzadsza zwierzyna, tym polowanie jest bardziej podniecające. Trudno, by polowanie na płochliwego zająca dostarczało takich samych wrażeń jak polowanie na odyńca lub jelenia. Ale to nie jest wszystko. Nie tylko polowanie na grubego zwierza daje silne przeżycia łowieckie. I inne polowania mogą być również bardzo piękne i pobudzające zapał łowiecki. Zależne to jest od okoliczności i warunków, w jakich polujemy. Niektóre z tych warunków chcę na wstępie omówić, by uzasadnić podaną niżej hierarchię polowań.

Bardzo ważnym czynnikiem jest otoczenie, a więc przyroda i charakter terenu, gdzie się odbywa polowanie. Im las jest dzikszy i bardziej pierwotny oraz mniej zniszczony przez człowieka, im przyroda jest bogatsza, której piękno najbardziej się uwydatnia o świcie i przy zapadającym zmroku, tym więcej pociąga to myśliwego.

Jako potwierdzenie tego, niech posłuży przykład z mojej dość długiej wędrówki po świecie i różnych kniejach leśnych.

Kiedyś znalazłem się z tytułu mego zawodu inżyniera na budowie w głębi Rosji w okolicach mało zaludnionych i lesistych. Od toru kolejowego, który przebiegał po dość wąskim pasmie wyższych terenów, ciągnęły się w jedną i drugą stronę na dziesiątki kilometrów lasy i zupełnie pustynne torfowiska leśne, porośnięte przeważnie niskopienną i karłowatą sośniną.

Nieliczna ludność nie zapuszczała się głębiej na te torfowiska, gdyż nic atrakcyjnego dla siebie znaleźć nie mogła. Puszysty, podmokły kobierzec mchów „sfagnum", porośnięty gęsto krzewami błotnymi i jagodnikami, nie dawał paszy dla bydła a poza tym nie był łatwy do chodzenia. Myśliwi miejscowi, których też było mało, nie chodzili na łowy w głąb torfowisk, bo czworonożnej zwierzyny tam nie było prawie a ptactwo mogli znaleźć pod dostatkiem bliżej.

Pracy miałem na budowie dużo, ale też warunki polowania układały się bardzo pomyślnie. Przyjechał tam ze mną „pskowicz"*), specjalnie dla organizacji polowań. Od samego więc początku zajęliśmy się tym zagadnieniem. Jedną z pierwszych czynności była sprawa wynalezienia tokowisk głuszców. Zasięgaliśmy języka, a „pskowicz" jeszcze w zimie na nartach robił wyprawy w różne strony, w poszukiwaniu tokowisk. Na wiosnę znaleźliśmy już ich kilka, a jedno z tych tokowisk, nieznane nikomu, było prawdziwym eldoradem. Dostęp do niego był bardzo trudny. Najpierw trzeba było jechać kilkanaście kilometrów końmi, a następnie iść około 12 km piechotą, z czego początkowo około 2 km po zniszczonych i śliskich kładkach nad dość głęboką wodą w lesie, a następnie po mszarach, porośniętych gęsto krzewami, w których więzły i plątały się nogi. Poza tym w końcu trzeba było przebyć niezbyt szeroką, lecz głęboką rzeczkę leśną, która na wiosnę wzbierała i na paręset metrów szeroko wylewała swe wody. Tokowisko zajmowało przestrzeń kilkuset hektarów. Głuszce tokowały grupami po kilka lub kilkanaście, przeważnie na kępkach wyższych, porosłych czapiastymi sosenkami. Gdy na skutek strzału przy jednej grupie reszta głuszców umilkła, przebiegało się do innej grupy i tam szukało się dalszych wrażeń.

Piękno i emocjonalność tego tokowiska polegały jednak nie na obfitości głuszców, których bez trudu można było zdobyć na bliższych i łatwiejszych terenach, lecz na niewypowiedzianym uroku dziewiczej i nie niszczonej przez ludzi przyrodzie oraz nie płoszonej faunie.

Człowiek czuł się tam i zachowywał jak w sanctuarium. Mówił tylko szeptem, starał się stąpać jak najostrożniej i zachowywać się jak najciszej, by swoją obecnością nie wnosić dysonansu i nie psuć harmonii w tym otoczeniu. Z przykrością naciskało się spust, bo huk strzału odbijał się wrogim i nieprzyjenym echem. Toteż pardwy-samce z przeraźliwym gęgotem, jakby djabelskim śmiechem, niemal koło samych nóg myśliwego swe harce wyprawiały. Żuraw podchodził o kilka kroków i zdziwiony obecnością myśliwego, przyglądał się uważnie, po czym strzepnąwszy kilka razy skrzydłami dla postrachu, oddalał się powoli od intruza, nie podrywając się do lotu.

Gdzieś w oddali, na jakiejś haliźnie leśnej, głosy tokujących cietrzewi zlewały się w jedną nieprzerwaną i niemilknącą symfonię. Spotykałem polujących i nie polujących i nie podejrzewających obecności człowieka rabusiów leśnych— rysia i kunę, które tam przyszły na łowy. Słyszałem również głosy zwierzyny lub ich walki. Jakiekolwiek bądź odgłosy z zewnątrz tam nie dochodziły. Raz jeden tylko, siedząc o północy przy ognisku, usłyszałem wydobywający się jakby z pod zie-

---

*) tropiciel zwierza i organizator w pierwszym rzędzie polowań z fladrami, z gub. pskowskiej.

mi dźwięk dzwonów z cerkwi, położonej o kilkadziesiąt kilometrów. żadnych oznak życia ludzkiego poza tym w tej kniei nie odczuwałem i nie spotykałem.

Tokowisko to sprawiło, że jak to orzekli moi przyjaciele, zaniemogłem na „chorobę głuszcową". Pomimo ogromnych trudów, połączonych z polowaniem na tym terenie, które występywały w całej swej pełni, gdy człowiek śmiertelnie wymęczony, ledwo wlokąc nogi, musiał na swych barkach taszczyć kilka głuszców, — po paru dniach wypoczynku znów marzyłem o tym, aby na to tokowisko się dostać. Gdy toki wreszcie skończyły się w maju, nie mogłem doczekać się marca następnego roku.

Pomimo wielu polowań na wilki i lisy z fladrami, pomimo wypraw na niedźwiedzie oraz ładnych polowań z wyżłem, myślałem wciąż o głuszcach. Chorobę tę przechodziłem przez kilka lat. Po powrocie już do kraju znalazłem się w Białostockim. Byłem wciąż jeszcze pod urokiem polowań na głuszce i wzdychałem do sposobności zapolowania na nie. Wreszcie znalazłem się na toku. Ale rano, jak tylko się rozwidniło, usłyszałem w pobliżu odgłosy nawoływań pastucha i ryk bydła. Jak by mnie zimną wodą ktoś oblał. To profanacja tokowiska. Czar prysł. I jakkolwiek potem dużo polowałem na głuszce oraz lubiłem to polowanie, ale z choroby swej wyleczyłem się.

Przytoczyłem ten epizod ze swych wspomnień, aby scharakteryzować wpływ jaki ma otoczenie na nasze przeżycia łowieckie. Przypuszczam, że to jest uczucie powszechne. Im piękniejszy jest las, im dziksza jest knieja, tym większe i pełniejsze emocje odczuwamy na polowaniu. Następnie, do czynnika emocjonalnego zaliczyć również należy stopień możności wyżycia się myśliwego na polowaniu, stopień, w jakim możemy oddalić się od myśliwego strzelca i zbliżyć się do myśliwego-łowcy.

Polowanie, na którym możemy swobodnie się poruszać oraz przejawiać własną inicjatywę i umiejętność łowiecką, dostarcza dużo więcej emocyj. Do takich polowań zaliczyć należy polowania z ogarami, podchód zwierza po tropach, polowanie z wyżłem itd. Znałem myśliwych, którzy polując na jelenie używali lunety tylko dla tego, iż dla nich było bardziej nęcącym podejście ryczącego jelenia na bliską odległość.

Dalej, myśliwy ma możność spotęgowania przeżyć łowieckich przez zwiększenie stopnia swego udziału w polowaniu. Im udział ten jest bardziej czynny, tym emocje są pełniejsze. Mam na myśli organizację polowania, a w szczególności otropienie zwierzyny. Stwierdzić to mogę na podstawie własnego długoletniego doświadczenia. Organizując na przykład, wiele polowań na wilki i tropiąc je od rana, a następnie fladrując i wyznaczając stanowiska, przeżywałem emocje nie mniejsze, niż gdy już potem stanąłem na stanowisku. Współczułem zawsze tym moim towarzyszom polowań, którzy siedząc w leśniczówce lub gajówce czekali z utęsknieniem na wieści z lasu, a następnie denerwując się wzdychali do chwili, w której staną na wyznaczonym miejscu.

Dużego uroku dodaje na polowaniach „zgrane" towarzystwo, a zwłaszcza przyjaciel myśliwy lub towarzysz łowów, z którym jednakowo się odczuwa i rozumie łowiectwo, i to niezależnie od tego czy towarzyszem tym jest człowiek, czy tylko wierny pies, który zgaduje myśli swego pana. Jeśli towarzysz posiada ten sam zapał łowiecki i jeszcze bardziej podnieca ten zapał, a nie tłumi go,wtedy myśliwy inaczej się czuje, inaczej strzela i większe ma przeżycia. Ze swych wędrówek po rozlewiskach poleskich, polując na kaczki, przypominam sobie, jak ważnym dla uświetnienia polowania był żywy udział przewoźnika w łowach.

Tak samo jest na innych polowaniach.

W końcu nie mogę pominąć też twierdzenia, że strzelba w ręku wraz z możnością ubicia zwierzyny nie jest tym jedynym źródłem emocji, jakie przeżywa myśliwy. Znani są myśliwi, którzy lubią polowania, mając ze sobą w kniei zamiast strzelby aparat fotograficzny. Gdy sięgnę myślą wstecz przychodzą mi na pamięć ogromne emocje, jakie przeżywałem wtedy, gdy nie miałem jeszcze strzelby, a tylko na polowaniach z wyżłem nosiłem tormając odstrzału łosia, jeździłem na bę za swym kuzynem. A już dużo później, bo przed ostatnią wojną, nie polowanie ze swym przyjacielem w charakterze kibica. Przeżycia łowieckie, jakich wówczas doznałem, nie były wcale mniejsze od tych, które miałbym, trzymając w ręku sztucer.

Przytoczyłem tu w ogólnych zarysach czynniki, które dostarczają głębszych wrażeń na polowaniu. Są one tylko elementem, potęgującym emocjonalność, bo przecież my myśliwi wzdychamy zarówno do polowań zwykłych z naganką, gdzie często trudno dopatrzyć się czynników poruszonych wyżej.

Myślistwo jest jak narkotyk Kto go zakosztował a przy tym lubi naturę, ten od niego nie odstąpi. Polowania pociągają nas myśliwych we wszelkiej ich formie i na wszelką zwierzynę.

Zwierzyna jest, oczywiście, różna, Zacznę od zwykłego zająca. Najpiękniejszym rodzajem łowów jest polowanie z ogarami. Będąc wychowany na tym sposobie polowania i nie znając dawniej polowania na zające z naganką, mogę to w pełni ocenić. Upolowanie paru zajęcy z ogarami warte jest dużo więcej i dużo większych wrażeń dostarczy, niż ubicie kilku dziesiątków z naganką lub w kotłach. Żałować należy, że te polowania u nas zupełnie już upadły.

Najniżej należy zakwalifikować, w moim przekonaniu, polowanie w kotłach. Miotające się w otwartym polu zające, z minimalną szansą wyjścia cało, nie mogą nastręczyć zbyt silnych wrażeń łowieckich i wzbudzają raczej uczucie litości.

Polowanie na dziki. Na pierwszym miejscu i tutaj postawić należy polowanie z dobrymi psami. Oczywiście polowanie to, które można uprawiać w niezbyt licznym a dobranym gronie myśliwych, jest połączone z pewnym niebezpieczeństwem, lecz jest bardzo emocjonujące.

Dużo wrażeń dostarcza dochodzenie po tropach do odyńców lub pojedyńczych loch, a nawet do stadka dzików, chociaż to ostatnie jest znacznie mniej pewne. W końcu stycznia i w lutym, gdy słonko zaczyna już przygrzewać, dziki często zalegają w mrowisku lub wprost pod drzewem w dość otwartym i nie zarośniętym gęsto lesie. Gdy spadnie ponowa i miękki śnieg nie chrzęści zbytnio, po otropieniu

Czytelnicy piszą

Stosownie do życzenia naszych Czytelników, któremu dali oni wyraz w odpowiedziach na Ankietę, wprowadzamy rubrykę powyższą, w której podawać będziemy wypowiedzi naszych Czytelników w sprawach o znaczeniu ogólnym. Aby zachować możliwie ściśle charakter tych uwag, ich barwę lokalną i jak najmniej zmieniać zakres zainteresowań autora, będziemy otrzymane korespondencje poddawali jedynie najbardziej koniecznej korekcie ortograficznej, bez zmian składni czy układu zdań.

CHROŃMY ZWIERZYNĘ

Dużo się pisze w naszym Łowcu Polskim na różne tematy, dzisiaj czytają go akademicy, urzędnicy, chłopi na wsi, wcale nie myśliwi. Dobrze by było, żeby nasze świetlice gromadzkie po gminach prenumerowały Łowca Polskiego, jak również nauczyciele szkół podstawowych. Bo weźmy przykład: mamy chronić zwierzynę, zwiększyć jej stan na naszych terenach. W planie 6-letnim przewiduje się powiększenie stanu zwierzyny o 30 procent. Zrobimy to wtedy, jeżeli każdy gospodarz będzie szanował zwierzynę, wskaże wnykarzy i kłusowników, bo o tym przeczytał w świetlicy. Każdy nauczyciel w szkole powinien dzieci szkolne pouczyć, żeby nie niszczyły młodej zwierzyny, a ile takich mamy dziś nauczycieli, którzy by choć raz w roku coś dzieciom o tym powiedzieli przy nauce?

Słusznie też pisze w nrze 2 ob. Pac Pomarnacki, że nie zakazanie odstrzałów kaczorów, tylko dopilnowanie tych synków, co włóczą się wybierając jaja kacze. Tak w rzeczywistości jest. Jedni twierdzą, że mamy tak mało kaczek i kuropatew, bo giną na różne choroby. Jest to nieprawdą, winna jest temu nasza młodzież nie uświadomiona, ktora tysiące jaj wybiera kaczych, kuropatwich, bażancich i innego ptactwa. Weźmy taki przykład: grupa chłopców w niedzielę wybiera się w las czy na stawy. W ciągu jednej tylko niedzieli zniszczy ona około 100 jaj, a jeżeli weźmiemy cały kraj, ile to przyniesie szkody? Nie ma wioski, żeby nie chwytano młodych zajęcy przez młodzież, a nawet starszych. Rzadko który się uchowa przy tym, bo 90 procent schwytanych zajęcy przez młodzież ginie i nikt z tego nie ma pożytku. To samo dzieje się z kuropatwami, kaczkami, dzikimi bażantami i innym ptactwem. Tutaj władze szkolne powinny nareszcie zająć się i wskazać młodzieży, żeby nie plądrowała po lasach i stawach, niech lepiej uprawia jakiś sport czy gimnastykę, bo prawdą jest, że młodemu się nudzi. Tymi sprawami musi się zająć też i sołtys, ogłosić w każdej gromadzie, że zwierzyny nie wolno niszczyć, bo to wszystko przynosi dochody Państwu. Dużo też niszczy się ptactwa przy koszeniu stawów zbyt wcześnie, w porze, kiedy są jeszcze tam jaja lub młode. To samo na łąkach, w koniczynach, w rzepiku niszczy się ptactwo i zające przy koszeniu. Przecież temu można jakoś zaradzić. Ptaki muszą mieć szuwary, bo przecież na samej wodzie nie będą siedziały. To musi wziąć pod uwagę Samopomoc Chłopska, która tymi stawami zarządza, żeby nie dopuścić do całkowitego wykoszenia stawów i mokradeł. Część może być koszona na jesieni, a i to nie całkowicie, żeby ptactwo mogło się gdzie schronić.

Teraz weźmy wnykarstwo. Czasem jeden spryciarz taki zniszczy moc zwierzyny. Tu musi działać sołtys i wszyscy obywatele gromady, którzy pragną, żeby na ich polach i lasach była zwierzyna łowna.

Tępienie kotów, tak zwanych polowych, które nie siedzą w domu, tylko stale wyłapują młode zające i ptaki, jest koniecznością, choć z tego wynikają spory pomiędzy dzierżawcami łowisk a gospodarzami ale trudno — kot czy pies, znajdujący się z dala od domów niszczy katastrofalnie zwierzynę.

Ażeby zwiększyć stan zwierzyny powinny rady narodowe powiatowe i gminne oraz sołtysi wspólnie tymi sprawami się zainteresować, a nie tylko sami dzierżawcy polowań, myśliwi czy strażnicy. Plan sześcioletni, to plan, który wykonamy tak w przemyśle i rolnictwie, jak i w podniesieniu zwierzyny na naszych polach, lasach, stawach, czy błotach w Polsce. Ale trzeba chronić zwierzynę.

Józef Rzycki

Wadowice, Ponikiew.

Hierarchia polowań

(Dokończenie)

i stwierdzeniu, w jakim ostępie zaległ dzik, można iść jego śladami we dwójkę (jeden tropi i odcyfrowuje splątane ślady, a drugi uważnie rozgląda się dookoła) i podejść blisko na strzał. Kto tak nie polował, niech spróbuje, a dozna dostatecznie silnych wrażeń.

Na ostatnim miejscu należy uplasować polowanie na dziki na zasiadkę. W ogóle uważam, że wszelkie polowania „na wychodnego" lub z ambony kwalifikują się najniżej.

Polowanie na rykowisku jeleni. Polowałem na nie w Karpatach, Białowieży i na Pomorzu. Ze względów, które przytoczyłem uprzednio, polowania w Karpatach wobec pięknego otoczenia były najbardziej interesujące. Bez względu jednak na otoczenie, podchodzenie ryczącego jelenia bez lunety na sztucerze, zaliczyć należy do najwyższej klasy, natomiast polowanie z ambony — do najniższej. Tu już myśliwy najbardziej się upodobnia do myśliwego-strzelca, gdyż nie uzdolnieniu łowieckiemu, lecz tylko umiejętności strzelania zawdzięczać może swoje powodzenie.

Polowanie na lisy z fladrami jest bardzo przyjemne. Przy dostatecznym wyrobieniu i nauczeniu się tropienia lisów, polowanie takie może dawać również obfitą zdobycz.

Z polowań na ptactwo, do liczby „królewskich polowań" odnieść należy toki głuszców, zwłaszcza gdy myśliwy dostatecznie samodzielnie to polowanie uprawia.

Do najpiękniejszych polowań na inne ptactwo leśne i błotne zaliczyć można polowanie z wyżłem. Ja osobiście, na przykład, wolę upolować starego koguta cietrzewia z wyżłem niż z budki na toku.

Jak doszliśmy do spłonki

Sposób zapalania ładunku prochu w broni myśliwskiej jest obecnie tak prosty, że zdawało by się nie może budzić żadnych zagadnień. Wiemy jednak, że tak nie jest. Słaba spłonka powoduje powolniejsze spalanie się prochu i wpływa na osłabienie strzału. Proch bezdymny, zapalający się nie tak łatwo, jak dymny, wymaga silniejszej spłonki. Podsypanie czarnego prochu na spłonkę słabą dla zapalenia prochu bezdymnego może powodować tak gwałtowny i silny wybuch, że broń ulega uszkodzeniu. Zbyt słaba sprężyna kurkowa nie tylko jest powodem niewypału, lecz wpływa również na osłabienie strzału przez to, że słabsze uderzenie kurka powoduje na początku spalenie się mniejszej ilości masy spłonki, mniej gwałtowny wybuch całej spłonki, mniej gwałtowny wybuch prochu i w efekcie słabszy strzał.

Jak widzimy, dla osiągnięcia dobrego strzału trzeba przede wszystkim posiadać sprawnie działający mechanizm kurkowy i użyć odpowiedniej spłonki. Z tymi rzeczami nie zawsze jesteśmy obecnie w porządku, a zwłaszcza nie zawsze umieliśmy sobie poradzić w przeszłości, gdy się pojawiła broń palna.

Broń palna pojawia się na arenie dziejowej w połowie XIV wieku. Początkowo jako broń wojskowa. Były to tzw. petrynały i hakownice. Zbudowane były w postaci metalowej rury (lufy) osadzonej na drewnianym trzonie, opieranym przy strzale o pierś (petrynał) lub dla zmniejszenia odrzutu zaczepiane hakiem o drzewo, płot, mur (hakownica). Było to konieczne z uwagi na silny odrzut, gdyż kaliber tych broni dochodził do 3 cm średnicy, a waga pocisku do 100 kg. Wybuch prochu był wywoływany dotykaniem zapalonego lontu do odpowiedniego otworu w lufie. Manipulowanie lontem przeszkadzało w celowaniu i zmuszało niekiedy do używania dwóch strzelców — jeden celował, drugi zapalał lontem proch. Dla uniknięcia tych trudności udoskonalono zapalanie przez zastosowanie ręcznie poruszanego kurka, w końcu którego umocowywano żarzący się lont, który przy swym nachyleniu trafiał lontem do otworu prowadzącego do prochu. Dla zapewnienia zapalani się prochu dorabiano do otworu tego blaszkę z wgłębieniem tzw. panewką, na którą podsypywano nieco miału prochowego. Stąd pochodzi powiedzenie „spalił na panewce", często bowiem proch spalał się tylko na panewce, nie zapalając ładunku w lufie.

Ten sposób zapalania przetrwał blisko dwa wieki. Broń z takim zapalaniem do polowania nie nadawała się, zwłaszcza, że w działaniu była słabsza od ówczesnych łuków i kusz. W początku XVI wieku pojawia się inny system zapalania — mechanizm kołowy, jaki możemy obecnie oglądać w muzeach. Mechanizm ten posiadał również kurek, lecz nie z umocowanym lontem, a z kawałkiem pirytu. Kurek w czasie przygotowania broni do wystrzału był naginany do panewki z prochem tak, że piryt przechodził przez otwór w panewce i dotykał ząbek kółka umocowanego od spodu i poruszanego sprężyną w chwili naciśnięcia spustu. Obrót kółka wywoływał powstanie iskier (jak w obecnej zapalniczce) i zapalenie się prochu na panewce. Ponieważ mechanizm kołowy często zawodził przez zanieczyszczanie się ząbków kółka, szukano różnych sposobów ulepszenia go i w ten sposób powstał cały szereg systemów tego mechanizmu. Mechanizm kołowy przetrwał aż do XVIII wieku.

Obok mechanizmu kołowego w końcu jego istnienia, bo około połowy XVII wieku, pojawia się mechanizm skałkowy. Mechanizm skałkowy posiadał, jak i kołowy, kurek i panewkę, z tym jednak, że kurek miał zaciśnięty nie piryt, lecz krzemień. Kurek, opadając po naciśnięciu spustu, uderzał krzemieniem w przykrycie panewki, które (przykrycie), służąc jednocześnie za krzesiwo, unosiło się nad panewką i dopuszczało dostanie się iskier do prochu.

Oczywiście, mechanizmy kołowe i skałkowe obok zasadniczych części — kurka, kółka z ząbkami, pirytu, krzesiwa, krzemienia — posiadały urządzenie do poruszania zasadniczych części i to urządzenie dość skomplikowane.

Mechanizmy kołowe i skałkowe był niepraktyczne, bo ilość niewypałów podczas wiatru i deszczu dochodziła niekiedy do 50%, to zaś zmuszało do szukania innego rozwiązania zagadnienia.

W początku XVIII wieku pojawia się rtęć piorunująca. Od tego czasu mechanizm kołowy i skałkowy przechodzą do historii, a ich miejsce zajmują mechanizmy, jakie widzimy obecnie. Przyczynił się do tego kapiszon ładowany rtęcią piorunującą. Początkowo kapiszon nakładano na podstawkę — kowadełko z otworem prowadzącym do ładunku prochu w lufie. Kurek uderzał w kapiszon na kowadełku i wywoływał wybuch prochu. Były to strzelby napijane od przodu, tzw. kapiszonówki. Później z wynalezieniem łusek, zawierających w sobie wszystkie elementy naboju, powstają strzelby nabijane od tyłu, a miejsce kapiszona zajmuje spłonka osadzona na kowadełku w łusce. Kurek nie przechodzi do historii, lecz niekiedy kryje się wewnątrz mechanizmu, dając powód do nazywania strzelb tak urządzonych bezkurkowymi.

Nie ma bodaj nic prostszego jak spłonka, a jednak upłynęło kilka wieków istnienia broni palnej zanim spłonkę wynaleziono i dopiero wynalezienie jej umożliwiło powstanie nowoczesnej broni, zwłaszcza wielostrzałowej i automatycznej.



Po powrocie z tokowiska

Lis atakuje warchlaka

Pewnego wieczora w czerwcu, jakie dwie godziny przed zachodem słońca, zasiadłem na ambonce, wybudowanej na starym zrębie. Wyrębu w swoim czasie dokonano w dwóch sekcjach. Na pierwszej wyrósł już gęsty młodnik. Tworzyły go kilkadziesiątletnie, pozostawione w czasie pierwszego cięcia, dęby, wypusty drzew liściastych i podsadzone młode dęby. Na drugim, gołym jeszcze zrębie zaczęto już sadzić sosnę ze szkółki. Rosła tam obficie trawa, na którą wychodziła zwierzyna z młodnika po jednej stronie, i ze starego starodrzewia mieszanego po drugiej. Wieżyczka strażnicza z ambonką stała jakie 80 kroków od skraju młodnika, na który zwracałem główną uwagę.

Słońce stało jeszcze na niebie, kiedy wyszła z młodnika koza z tegorocznym koźlęciem i zaczęła się paść na świeżej trawce, za nią wysunęła się druga, może zeszłoroczna młoda kózka. Dopiero, kiedy zachowanie się kóz wskazywało, że wszystko w porządku i nie grozi niebezpieczeństwo, wyszedł za nimi młody rogacz, dumnie obnoszący pierwsze swoje poroże kiepskiego szóstaka. Pilnie przypatrując się sarnom, zauważyłem, że ogarnia je jakiś niepokój. Najsilniej zareagowała stara koza z koźlęciem. Niebawem zaczęła tupać i szczekać, koźlątko przytuliło się do matki. Sarny jednak nie schodziły z poręby, lecz raczej cofały się od gąszczu i wychodziły dalej na odkryty wyrąb. Zapewne dziki wyjdą z młodnika, pomyślałem sobie. Istotnie wysunęła się z gąszczu spora sztuka, widać locha, gdyż za nią wysypała się gromadka 6 pręgowatych jeszcze, tegorocznych warchlaków. Sympatyczna ta rodzinka skierowała się ku mojej wieżyczce strażniczej, tak, iż wkrótce miałem ją przed moją ambonką, na jakie 40 kroków. Długo cieszyłem się widokiem tej dziczej idylli. Matka oddała się ulubionemu zajęciu buchtowania, warchlaki zaś, jak to dzieci, biegały, goniły się, zbierały poziomki i w trakcie tych zabaw rozproszyły się dość szeroko z dala od lochy.

Obserwując przez lornetkę to sarny, to dziki, odkryłem jakiś wydłużony kształt, skradający się poprzez zeschłe trawy zeszłoroczne ku warchlakom. Był to lis, a podchodzenie jego żywo przypominało ruchy kota, polującego na wróble. Pełzał przy samej ziemi z kitą sztywno wyciągniętą, chwilami zamierając bez ruchu. Podczołgawszy się do tyłu odosobnionego warchlaka, lis sprężył się, skoczył i chwycił prosiaka za kark. Warchlak krzyknął przeraźliwie. Daremnie próbował wydrzeć się. Lis trzymał go jak w kleszczach. Na wrzask warchlaka, locha, fucząc groźnie, ruszyła w stronę, gdzie rozległ się krzyk. Lis, widząc walącą się na niego burzę, puścił warchlaka i skoczył na pniak. Był to pień stuletniego dębu, ściętego dawnymi laty, więcej niż metrowej grubości i prawie metr wysoki. Daremnie locha, zoczywszy wroga usiłowała go chwycić i ściągnąć. Lis, wycofując się w przeciwległy kraniec, garbił się i prychał wprost w sam gwizd rozjuszonej lochy, jak kot, atakowany przez psa. Locha, obiegła pień i natarła od strony przeciwnej. Oczywiście lis miał dość czasu, żeby się wycofać. Takim sposobem taniec kilkakrotnie powtarzał się, aż wreszcie locha przekonała się, że lisa dosięgnąć nie może. Ostatecznie zniechęcona samura zabrała swoje potomstwo i wciąż fucząc, oddaliła się. Lis zaś, nie ufając rozejmowi, uważał, że bezpieczniej będzie pozostać na pieńku.

Wtedy ja postanowiłem przemówić ostatnie i rozstrzygające słowo w tej sprawie rozbójniczego napadu. Wymierzyłem z karabinka do lisa, siedzącego na pniu. Kula moja przecięła nić żywota niedoszłego rabusia warchlaków. Przekonałem się, że był to stary pies.

Nieraz zastanawiałem się nad tym zdarzeniem. Jakie były kombinacje tego lisa. Musiał chyba zauważyć lochę przy warchlakach. Więc nawet, gdyby mu się udało zadusić warchlaka, przecież locha nie byłaby mu dała zabrać go. Z drugiej strony nie wydaje się prawdopodobne, żeby lis — o tej porze roku był wygłodzony do utraty rozsądku. Przypuszczam więc, że lis rzeczywiście nie dojrzał lochy i myślał, że warchlaki błąkają się bez opieki i chciał z tego skorzystać, żeby zadusić jednego z warchlaków i zanieść go do nory na pożywienie małych lisków. Stwierdzone zaś jest, że na wyżywienie małych pracują zarówno lis, jak i liszka, jak to bywa także u wilków. Nora lisów istotnie znajdowała się w młodniku, niedaleko miejsca napadu. Prawda, że lis, choćby mu się udało zadusić warchlaka, przecież nie podołałby unieść zwierza, wagi co najmniej swojej własnej. Może więc miał zamiar, skoro noc zapadnie i dziki oddalą się, powrócić razem z małżonką i viribus unitis zaciągnąć zdobycz do nory. Jest to bądź, co bądź, wypadek niepowszedni, chociaż o możliwości świadczą fakty.

Dzik i rogacz

Wracając kiedyś z dalszego objazdu, jechałem bryczką przez las ku domowi. Pora była letnia, godzina może szósta. Brakowało więc do zachodu słońca jeszcze ze 2 godziny. Jechaliśmy stępa przez wysoki las, kiedy w podszytym starodrzewiu zobaczyłem stojącego dzika. Zeskoczyłem z bryczki i pokazałem furmanowi na migi, żeby odjechał kawałek i stanął. Przez Zeissa stwierdziłem, że odyniec stoi prosto na sztych, patrząc na konie. Spuszczony nieco łeb dzika zasłaniał mi jego pierś. Miałem w ręku 8 mm karabin Mausera. Postanowiłem tedy strzelić mu w łeb między oczy. Jeżeli trafię, dzik padnie w ogniu. Gdybym zgórował, kula może go jeszcze trafić w grzbiet i ubezwładnić go, skaleczony może szarżować. Gładko chybiony może też ruszyć ku mnie i dać mi sposobność do drugiego, lepszego strzału.

Po strzale dzik runął i więcej się nie ruszył. Widać trafiłem, gdzie mierzyłem. Na strzał zjawił się gajowy. Podeszliśmy do dzika. Leżał tam, gdzie stał. Kulę miał we łbie między oczyma. Jakież jednak było moje zdziwienie, kiedy zobaczyłem ,że dzik leży na rogaczu. Odwaliliśmy dzika, rogacz był ciepły. Na łopatce znaleźliśmy kilka ran postrzałowych. Widocznie padł dopiero co od strzału siekańcami z rusznicy kłusownika. Dzik jak łapiduch miał się właśnie zająć nieboszczykiem, kiedy kula moja własny jego żywot przecięła. Kula ta, przebiwszy czaszkę z przodu, spłaszczyła się i przeciwległej ściany czaszki już nie dosięgła. Zapewne została w mózgu.

Sytuacja miejscowości była taka: ściana starodrzewia, w którym stał dzik, tworzyła tam kurtynę, za którą znajdowała się duża łąka. Na tej łące prawdopodobnie czatował kłusownik i strzelił do rogacza, który ostatkiem sił wpadł do lasu, gdzie dzik pewnie jeszcze spoczywał. Obudzony w ten sposób odyniec natychmiast postanowił zająć się postrzałkiem. Kłusownik usłyszawszy mój strzał, nie śmiał już iść za farbą i szukać. Pewne jest w każdym razie, że dziki jakiego bądź postrzałka prędko znajdą i zjedzą, obojętne czy świeży, czy też już w rozkładzie. W lasach o znacznym stanie dzików nieraz zdarzy się, że rogacza postrzelonego wieczorem przy poszukiwaniu następnego ranka znajdzie się już napoczętego przez dziki. Czy dziki w letniej porze zjedzą postrzałka własnego gatunku, nie stwierdziłem, jednak że zimą w głodnej porze nim nie pogardzą, nie ulega wątpliwości.

KOMUNIKATY
Polskiego Związku Łowieckiego

Do Wojewódzkich Rad Łowieckich

Nr 1145/III/50

dn. 25 kwietnia 1950 r.

Z uwagi na dyscyplinę organizacyjną, ustalenie wysokości nakładu Łowca Polskiego oraz konieczność terminowego zdobycia funduszów na odbudowę siedziby Polskiego Związku Łowieckiego, która włączona jest do Państwowego Planu Inwestycyjnego na rok 1950 — Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego powzięło w dniu 23IV br. uchwałę odnośnie składek członkowskich w brzmieniu jak poniżej:

„Ostateczny termin wpłacania składek członkowskich do Polskiego Związku Łowieckiego za rok 1950 upływa z dniem 31V br. Członkowie Polskiego Związku Łowieckiego, którzy do tego terminu składek nie wpłacą, zostają automatycznie skreśleni z listy członków Związku. Ponowne przyjęcie ich do Polskiego Związku Łowieckiego nastąpić może dopiero po złożeniu nowego podania o przyjęcie i wpłaceniu poza bieżącą składką w wysokości 2.000 zł i równowartości zająca, również wpisowego w kwocie zł 500. — Przyjętym na nowo po 1VI br. członkom Polskiego Związku Łowieckiego, Łowiec Polski za pierwsze półrocze dostarczony będzie tylko w miarę możności".

Prosimy o podanie powyższej uchwały Walnego Zgromadzenia do wiadomości Kolegów w terenie i ogłoszenie we właściwym komunikacie. Wojewódzkiej Rady Łowieckiej.

WICEPRZEWODNICZĄCY
KOMITETU WYKONAWCZEGO
Zbigniew Kowalski

Nr 1144/III/50

dn. 25 kwietnia 1950 r.

Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego w dniu23IV1950 r. uchwaliło odnośnie odbudowy Domu Łowiectwa Polskiego co następuje:

„W ciągu trzech lat począwszy od roku bieżącego każdy członek Polskiego Związku Łowieckiego, niezależnie do tego czy posiada, czy nie aktualne pozwolenie na broń myśliwską, wpłacać będzie na odbudowę siedziby. łącznie z coroczną składką członkowską, równowartość zająca w kwocie zł 600.

Koledzy. którzy z jakichkolwiek przyczyn w br. nie oddali zająca, bądź nie wpłacili jego równowartości na odbudowę siedziby, winni należne zł 600 uregulować w czasie możliwie najkrótszym do właściwej wojewódzkiej rady łowieckiej".

Zaznaczamy, że akcja odbudowy Domu Łowiectwa Polskiego traktowana jest przez Walne Zgromadzenie jako wkład ogółu myśliwych polskich w odbudowę Warszawy.

Powyższą uchwałę prosimy Wojewódzką Radę Łowiecką podać Kolegom w terenie oraz ogłosić w komunikacie wewnętrznym Rady.

WICEPRZEWODNICZĄCY
KOMITETU WYKONAWCZEGO
Zbigniew Kowalski

Nr 1142/III/50

dn. 26 kwietnia 1950 r.

Wobec zlikwidowania nadmiernego pogłowia dzików oraz ze względu na wielką ilość postrzałków, jaką powoduje strzelanie loftkami i wynikające stąd straty dla gospodarki narodowej i eksportu, Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego w dniu 23IV 1950 r. uchwaliło zabronić członkom Polskiego Związku Łowieckiego strzelania do dzików loftkami i śrutem.

Prosimy o podanie powyższej uchwały Walnego Zgromadzenia do wiadomości Kolegów w terenie i ogłoszenie we właściwym komunikacie Wojewódzkiej Rady Łowieckiej.

WICEPRZEWONICZĄCY
KOMITETU WYKONAWCZEGO
Zbigniew Kowalski

Nr 1183/III/50

dn. 28 kwietnia 1950 r.

Z uwagi na konieczność ścisłej współpracy na odcinku łowiectwa pomiędzy Polskim Związkiem Łowieckim i Spółdzielnią „Jedność Łowiecka", oraz w imię dobrze rozumianego wspólnego interesu — Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego w dniu 23.IV.1950 r. powzięło uchwałę, **zalecającą** członkom Polskiego Związku Łowieckiego zapisywanie się na członków Spółdzielni „Jedność Łowiecka".

Prosimy podać powyższą uchwałę Walnego Zgromadzenia do wiadomości Kolegów w terenie i ogłoszenie we właściwym komunikacie Wojewódzkiej Rady Łowieckiej.

WICEPRZEWODNICZĄCY KOMITETU
WYKONAWCZEGO
Zbigniew Kowalski

Sprostowanie

W nr. 4 w artykule pt. „Bezkrwawe łowy" nie zamieszczono następującej uwagi: „Uwaga Redakcji. Autor przez przeoczenie napisał, że zające wypuszczono w nowym terenie osiedlenia „o zmierzchu". Jest to nieprawidłowe. Zające wypuszcza się z klatek z zasady „o świcie".

Z literatury łowieckiej

„Pies“ — nr 1 (6), marzec 1950 r. — organ Związku Kynologicznego w Polsce, cena 150 zł. — Adres — Warszawa, Nowy Świat 35.

Pierwszy tegoroczny zeszyt kwartalnika „Pies“ ruszył w świat pd hasłem „W obronie psa“. Obronie tej poświęcony jest artykuł wstępny: „Pies przestanie być pariasem“, streszczający wszystkie zarzuty, podniesione przeciwko zarządzeniom niektórych kół samorządowych, zmierzających do takiego opodatkowania prawa posiadania psa, które by faktycznie zlikwidowało psy w miastach. Akcja Związku Kynologicznego uwieńczona została zwycięstwem w postaci uchwały Rady Państwa, uchylającej projekt Stołecznej Rady Narodowej podwyższenia podatku od psów w Warszawie do 5.000 zł od pierwszego psa, do 15.000 zł od drugiego i do 20.000 zł od następnych.

Obronę psa ze stanowiska humanitarnego podejmuje w osobnym artykule redaktor R. Kryspin, przytaczając szereg bestialskich wyczynów osób wszelkiego autoramentu — od dzieci do profesorów — a świadczących o zwyrodnieniu kulturalnym części powojennego społeczeństwa. Obronę psa ma na oku zamieszczony w piśmie okólnik nr 17 Ministerstwa Administracji Publicznej, regulujący sposoby chwytania psów i ich zgładzania przez czyścicieli miejskich i gminnych. Nawet Wiech wystąpił w obronie psa w dowcipnym, jak zwykle, felietonie pt.: „Ja chcę Bukieta!“.

Z innych prac zamieszczonych w zeszycie marcowym „Psa“ zasługują na wyróżnienie: „Oczy które widzą“, — ujęta w piękną formę rola psa — przewodnika dla niewidomych, monografia „Owczarek podhalański“ — Inż Z. Danka, zwięźle a treściwie ujęta „Tresura psa myśliwskiego“ — J. Pietraszkiewicza, szkic „Rola i dola psa w filmie“ z dobrymi ilustracjami, wreszcie dwie wschodnie legendy: hinduska z epopei „Maha - Bharata“ o Yudhisztira i jego psie oraz gruzińska „Azar, Basar i Kudedana“ — również o psach, które panu swemu życie uratowały.

J. G.

„KORZEŃ ŻYCIA“ — *Michał Priszwin*, przekład z rosyjskiego A. Stawara i P. Hertza. Wydawnictwo „Czytelnik“, Łódź, 1949 r.

Omawiana książka mogłaby stanowić atrakcję dla każdego myśliwego, będącego jednocześnie miłośnikiem przyrody.

Michał Priszwin, występujący jako autor w pierwszej połowie dwudziestego stulecia, to fanatyk przyrody. Góry, stepy, las — oto jego żywioł. Przyrodę rozumie i kocha. Patrząc, nie tylko widzi. Obserwuje i to bardzo wnikliwie. Życie zwierząt i roślin, słońce, wiatr, śnieg, mgły, rzeki i strumyki leśne, opadający liść jesienny — wszystko dostarcza mu tematów, które rozwija zajmująco i artystycznie. Priszwin jest także myśliwym, ale myśliwym poetą. Polując, nie zapomina o pięknie, które go otacza.

W swych wędrówkach przyrodniczych i łowieckich spotyka się również z ludźmi. Umie podpatrzyć typ interesujący i podać czytelnikowi narysowaną barwnym piórem sylwetkę, ze świata przeważnie egzotycznego.

Wśród licznych, drobniejszych powiastek, stanowiących nierzadko perełki romantyzmu przyrodniczego i stylu pisarskiego, na czoło wysuwa się utwór dłuższy, słusznie nazwany przez autora poematem, pt. „Żeń-szeń“, w tłómaczeniu polskim „Korzeń życia“.

Jest to opowiadanie, osnute na tle istniejącego od wieków na wschodzie Azji przesądu o tajemniczej potędze rośliny „żeń-szeń“, której korzeń zapewniać miał zachowanie wiecznej młodości. Opowieść zawiera także opis innego zabobonu — przypisywania identycznych własności już wykształconym, ale nie zrogowaciałym jeszcze rogom jelenia plamistego. W ramach opisu łowienia i oswajania tego gatunku jeleni, w celu ułatwionego nabywania owych czarodziejskich rogów, zwanych „pantami“, autor rozwija prześliczną historię łani, którą nazywa „Chua-lu“, co ma oznaczać po chińsku „Jeleń-kwiat“. Oswojenie „Chua-lu“ odbywało się w warunkach pełnych romantycznego czaru. Ten fragment poematu, to wyraz prawdziwie poetyckiego natchnienia.

Książka warta jest przeczytania. Szkoda tylko, że posiada w tłómaczeniu braki, wynikające z niedostatecznej znajomości terminologii łowieckiej i łowiectwa. Przytoczymy najbardziej rażące:

„Tropienie zajęcy po czarnym śladzie“.

„Myśliwi, wystawiający zające (bielaki)“ nazwane przy tym „bielasami“.

Na polowaniu z gończymi występuje pies „legawiec“, w dodatku „Kostromicz“.

Rosyjski wyraz „nast“ brzmi po polsku: „zamarzłe po odwilży błoto“.

„Najezdnik“, czyli jeździec, przetłumaczono jako „nartnik“ (dlaczego nie narciarz, również niewiadomo).

W lesie, tłumacze znaleźli drogi „wymiecione“.

Opisywaną przez autora słonkę, tłumacze przechrzcili na bekasa.

Ciąg słonek nazywa jeden z tłumaczów — szlakiem.

Rosyjskie słowo „prud“ przetłumaczono na potok, wskutek czego, w dalszym ciągu opowiadania „wzburzyła się powierzchnia potoków, tak dużo było w nich żab“.

„Czernysz, czyli cietrzew-samiec nazwany jest w tłumaczeniu „nurem“. W związku z tym czytamy dalej takie zdanie; „Pod każdym krzakiem siedzi nur“. Miały to być cietrzewie.

Są też w tłumaczeniu i „pełzające grzyby“. Mowa o grzybach prawdziwych.

Dubelty nazwane są przez tłumacza „dużymi bekasami“, w dodatku „błotnistymi“.

Cietrzewie biegają po „kretowiskach“, co jest niemożliwe, gdyż rzecz dzieje się w terenie błotnistym, natomiast w oryginale „koczka“, czyli kępa.

Łania ma uszy „surowe“ — w oryginale „strogije“, czyli czujne.

Każdy jeleń z wieńcem nazwany jest „rogaczem“.

Bażanty mają „kółeczka na szyjach“.

Spotykają się również sosny „płaczące“, a nawet i „zawadiackie“.

Bars, to według tłumaczów — ryś.

W innym miejscu „nast“ oznacza gołoledź.

Rykowisko nazwane jest „gonem“.

Na rykowisku ryczą też „kozły“.

Nie brak też dziwolągów w polszczyźnie:

„Wkroczyłem do lasu o *szerokich liściach*“.

„Widniał *poczerniały przez czas* napis“.

„Liście *łapkowate*“.

„Splecione *na zawsze* lianami cytrynowca“.

„*Czuła* rozwaga“.

„A gdybym *swym tchnieniem dotknął* choć jednego listka“.

„Luwen zrozumiał i *wypogodził się*“.

„Łania *wytrzebiła* wszystkie ziarna soi i gałązki“. Miało to oznaczać, że wyjadła.

„*Iść naprzód*, rozmnażając się, *aż do ostatniego tchnienia*“.

„Rozstawiło się *ośmiu różnych* rogaczy“.

„*Zaczęły* ślizgać się *nartniki*“.

Wydawnictwu „Czytelnik“ Łódź przydałaby się uwaga, że na przyszłość dobrze było by, ażeby każda książka z dziedziny łowiectwa została przesłana przed wydaniem do fachowej oceny przez Polski Związek Łowiecki, który swymi wiadomościami bardzo chętnie i najzupełniej bezinteresownie się podzieli, zwłaszcza gdy książka jest tak wartościowa, jak omówiona wyżej M. Priszwina — „Korzeń życia“.

K. Świderski

CENY OGŁOSZEŃ:

Za ogłoszenie jednorazowe na okładce lub za tekstem pobiera się: za całą stronę — 30.000 zł, za ¾ strony — 25.000 zł, za ½ strony — 20.000 zł, za ⅓ strony — 15.000 zł, za ¼ strony — 12.000 zł, za 1/5 strony — 10.000 zł, za 1/8 strony — 8.000 zł. Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne, prywatne, zwykłym drukiem — 50 zł za wyraz, grubym drukiem — 100 zł za wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego, Dyrekcje Lasów Państwowych oraz Zarządy Państwowych Gospodarstw Rolnych korzystają z 50% zniżki jeśli ogłoszenia nadsyłane są *bezpośrednio* do Administracji pisma.

Wydawca — Polski Związek Łowiecki. Warszawa, Nowy Świat 35. Konto PKO I-1077
Komitet Redakcyjny: Z. Korolkiewicz (przewodniczący), J. Gieysztor (redaktor), członkowie: J. Bohusz, E. Frankiewicz, S. Ihnatowicz, Z. Kowalski, R Kryspin, M. Sadzewicz, A. Śliwiński, H. Zapolski. Doradca graficzny — S. Rozwadowski

Zamówienie Nr 187 z dn. 6.IV.1950 r. Nakład 30.000 egz. Ukończono w maju 1950 r. B-109358
Druk „Prasa Demokratyczna — Nowa Epoka", W-wa, Śniadeckich 16.

Rozporządzenie Ministra Leśnictwa

z dnia 27 marca 1950 r.

w sprawie ochrony niektórych zwierząt łownych

(Dz. U. R. P. Nr 18).

Na podstawie art. 51 ust. 1 lit. a), b), c), d), rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckim (Dz. U. R. P. Nr 110, poz. 934 i z 1932 r. Nr 67, poz. 622 oraz art. 1 pkt2 i art. 2 dekretu z dnia 5 września 1947 r. o zakresie działania urzędu Ministra Leśnictwa (Dz U. R. P. Nr 60, poz. 327) zarządza się, co następuje:

§ 1. Czas ochronny ustalony w art. 49 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckim, rozszerza się tak, że obejmuje on:

1) dla jeleni - byków
w województwach: łódzkim, olsztyńskim, pomorskim, szczecińskim, poznańskim, wrocławskim, śląskim, krakowskim i rzeszowskim — okres od 1 listopada do 10 września,
w województwach zaś warszawskim, białostockim i gdańskim — cały rok;
2) dla danieli - byków
w województwach: pomorskim, poznańskim, śląskim i wrocławskim — okres od 1 grudnia do 15 października;
3) dla sarn - kozłów
w województwach: pomorskim, poznańskim, olsztyńskim i wrocławskim — okres od 1 listopada do 31 maja,
w pozostałych zaś województwach — cały rok;
4) dla borsuków — okres od 1 grudnia do 31 sierpnia;
5) dla zajęcy - szaraków — okres od 21 stycznia do 25 października;
6) dla zajęcy - bielaków — cały rok;
7) dla wiewiórek — okres od 1 lutego do 30 listopada;
8) dla głuszców - kogutów — okres od 16 maja do 15 marca;
9) dla cietrzewi - kogutów — okres od 16 maja do 15 marca;
10) dla jarząbków — okres od 21 stycznia do 31 października;
11) dla bażantów - kogutów — okres od 21 stycznia do 25 października;
12) dla kuropatw
w województwach: białostockim, lubelskim, rzeszowskim — okres od 16 października do 15 września,
w pozostałych zaś województwach — okres od 11 listopada do 31 sierpnia;
13) dla przepiórek
w województwach: białostockim, lubelskim i rzeszowskim — okres od przylotu do 15 września,
w pozostałych zaś wojedództwach — okres od przylotu do 31 sierpnia;
14) dla słonek — okres od 16 maja do 15 sierpnia;
15) dla batalionów — okres od 1 czerwca do 15 lipca;
16) dla dzikich kaczorów
w województwach: gdańskim, olsztyńskim i szczecińskim — okres od 21 maja do 15 lipca;
w pozostałych zaś województwach — okres od 1 stycznia do 28 lutego oraz od 21 maja do 15 lipca,
17) dla dzikich kaczek (samice i młode) — okres od 1 stycznia do 15 lipca;
18) dla dzikich gęsi
w województwach: gdańskim, olsztyńskim, wrocławskim i szczecińskim — okres od przylotu do 31 lipca,
w pozostałych zaś województwach — okres od 16 maja do 31 lipca;
19) dla czapli siwych, dubeltów, kszyków, bekasików, kulonów, kulików, derkaczy, siewek i innego ptactwa wodnego oraz błotnego nie objętego ochroną gatunkową, z wyjątkiem łysek — okres od przylotu do 15 lipca;
20) dla łysek — okres od 1 maja do 15 lipca;
21) dla dzikich gołębi — okres od przylotu do 31 lipca;
22) dla kwiczołów i paszkotów — okres od 1 lutego do 15 sierpnia;
23) dla błotniaków zbożowych i stawowych — okres od 16 maja do 15 lipca;
24) dla gawronów, kawek i ptaków drapieżnych nie objętych ochroną gatunkową — okres od 1 marca do 15 sierpnia.

§ 2. Wprowadza się czas ochronny:

1) dla dzików — okres od 1 marca do 31 maja;
2) dla kun leśnych (tumaków) — okres od 1 marca do 31 października;
3) dla wydr — okres od 1 marca do 31 lipca;
4) dla lisów — okres od 1 marca do 31 lipca;
(w bażantarniach i zagrodach wiejskich oraz w bezpośrednim ich sąsiedztwie aż do stu metrów odległości wolno polować przez cały rok);
5) dla niedźwiedzi — przez cały rok;
6) dla rysi — przez cały rok;
7) dla żbików — przez cały rok;
8) dla muflonów — przez cały rok;
9) dla orłów z wyjątkiem orła rybołowa — przez cały rok;
10) dla norek — przez cały rok.

§ 3. Zabrania się całkowicie polowania na:

1) łosie - byki
2) jelenie - byki
w województwach: kieleckim i lubelskim;
3) daniele - byki
w województwach: warszawskim, łódzkim, kieleckim, lubelskim, białostockim, olsztyńskim, gdańskim, szczecińskim, krakowskim i rzeszowskim;
4) cietrzewie - kury;
5) dropie i dropie kamionki (strepety);
6) drozdy z wyjątkiem kwiczoła i paszkota;
7) puchacze i wszelkie sowy;
8) dzikie łabędzie.

§ 4. Rozporządzenie wchodzi w życie z dniem 1 czerwca 1950 r. i obowiązuje do dnia 31 maja 1951 r.

Minister Leśnictwa: *B. Podedworny*